HERMAN I DOROTA

Wielce czcigodnej Autorce

„Wspomnień o Ad. Mickiewiczu"

Pani Maryi Goreckiej

z szacunkiem wysokiem

składa

[illegible]

J. W. GOETHE.

HERMAN I DOROTA.

Przełożył

TEOFIL ZIEMBA.

W KRAKOWIE,
W DRUKARNI „CZASU“ FR. KLUCZYCKIEGO I SP.
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.
1885.

Osobne odbicie z „Przeglądu Polskiego".
Nakładem Autora.

HERMAN I DOROTA.

I.

Kalliope.

Niedola i współczucie.

Jeszcze nigdy tak pustych ulic nie widziałem!
I pięćdziesięciu ludzi niema w mieście całém!
Co to może ciekawość!... Każdy spieszy żywo,
By oglądać wygnańców niedolę straszliwą!
A choć stąd do gościńca iść potrzeba milę,
Przecież tam idzie każdy w tym skwarze i pyle. —
Zaiste, ja nie pragnę takiego widzenia
Tych nieszczęśliwych ludzi, co z resztkami mienia,
Porzucili uroczą nadreńską krainę
I schronili się do nas — w tę żyzną dolinę...
Dobrze zrobiłaś, żono, żeś wysłała syna,
Dawszy mu jakiś zapas sukien, jadła, wina. —
Kto może, niech ubogim otwiera swe dłonie!...

Jak ten chłopak powozi! jak on trzyma konie!...
Lecz i nowa kolaska wygląda wspaniale,
Czterech się w niej pomieścić może doskonale,
A na kożle woźnica. Dziś on bez woźnicy
Pojechał — a jak skręcił na rogu ulicy!...

Tak rozprawiał gospodarz z pode „Lwa złotego,“
Siedząc wygodnie z żoną w bramie domu swego.

A na to mu odrzekła wnet roztropna żona:

W wielkiej cenie jest u mnie bielizna znoszona,
Potrzebna często w domu; przecież ją oddałam
Chętnie, a nawet twe suknie przejrzałam,
Czyli się między niemi co wybrać nie zdarzy;
Bo słyszę, bez okrycia są dzieci i starzy...
Wybacz więc, że zabrałam twój szlafrok zużyty,
W kwiaty indyjskie z wierzchu, flanelką podszyty;
Dałam go, aby służył ku biednych wygodzie,
Zwłaszcza, że był wytarty i dawno nie w modzie.

Na to odrzekł gospodarz z uśmiechniętym wzrokiem:

Niechętnie się rozstanę z mym starym szlafrokiem;
Wierzch był na nim indyjski, dziś szukać takiego!
Prawda, żem go nie nosił od czasu dawnego,
Bo dziś inny obyczaj; mężczyzni w surdutach
Chodzą — i nie w pantoflach, jak niegdyś, lecz w butach.

Cóż to, przerwała żona, oto z tamtéj strony
Już wracają, miałżeby przejazd być skończony?
Spojrzyj! jak ich obuwie pyłem ubielone,
Każdy chustką ociera czoło uznojone!
O jabym nie pragnęła widoku takiego;
Com od ludzi słyszała, dosyć mi już tego!...

Na to zacny gospodarz znowu odpowiada:

Jużto w tym roku żniwo w piękny czas przypada!
Sucho zwiozą się zboża, jak się zwiozły siana,
Bo niebo tak pogodne, a codzień od rana
Wschodni wietrzyk na stałą pogodę powiéwa.
Kłos dojrzał; jutro tedy biorę się do żniwa.

Gdy tych dwoje w ten sposób z sobą rozmawiało,
Mnóstwo ludzi tymczasem do domu wracało.
Wrócił z córkami sąsiad, kupiec zbogacony,
W swym otwartym powozie, (co w Landau robiony).
I wnet nanowo życie budzić się zaczęło
W dosyć ludném miasteczku, co z fabryk słynęło.

Gdy więc, gwarząc przy bramie, siedzieli oboje,
Robiąc nieraz ucieszne spotrzeżenia swoje,
Zawołała nakoniec małżonka kochana:

Patrz! idzie pan aptekarz tuż obok plebana;
Oni nam opowiedzą wszystko, co tam było,
Wolę już o tém słyszeć, co widzieć nie miło.

Jakoż nadeszli tamci, grzecznie się skłonili,
A usiadłszy, chustkami czoła swe chłodzili.

Po chwili pan aptekarz takiém zaczął słowem:

Ludzie zawsze jednacy, z tymsamym narowem!
Spragnieni są widoku nieszczęścia ludzkiego:
Czyto pożar wybuchnie, czyli skazanego
Na śmierć wiodą — jednako widokiem się cieszą.
Tak i dziś: by oglądać tych wygnańców, spieszą;
A nie pomyślą o tem, że — uchowaj Boże!
Ich samych los podobny wkrótce spotkać może.
Nie pochwalam ja wcale tej u ludzi wady!

Na to zaś odrzekł pleban, wyborny do rady,
A chociaż jeszcze młody, przecież mimo tego
Był on ozdobą miasta, dla rozumu swego;
Znał dobrze pismo święte, cenił je wysoko
I świeckich pism znajomość posiadał głęboką:

Ja z panem aptekarzem nie dzielę nagany
Popędu, który ludziom z natury jest dany;
Bo czego nieraz rozum najgłębszy nie zbada,
Zrobić może ciekawość, która ludźmi włada.
Przez nią dla rzeczy nowych uwaga się budzi,
A stąd później niemały pożytek dla ludzi;
Bo człowiek przez ciekawość tę korzyść odnosi,
Że znajdzie i rzecz dobrą, która go podnosi

I uzacnia. Wiadomo zaś, że młodych odwieczną
Przywarą jest niebaczność na rzecz niebezpieczną
I niepamięć na świeżo doznane zawody.
Ale z czasem dojrzewa nawet umysł młody,
Zmieniając się w stateczny, wytrawny rozsądek,
Który zdoła polubić miarę i porządek,
I kres umié położyć wesołej swawoli,
I rozwija swą skrzętność w doli i niedoli!
Wszystko to człowiekowi na korzyść wychodzi,
Bo znajdzie i rzecz dobrą i szkodę nagrodzi.

Tak mówił, gdy w tej chwili odezwie się żona
Gospodarza, bo nowin zbyt była spragniona:

Cóżeście tam widzieli?... powiedzcie panowie!

Zatem wnet pan aptekarz poważnie odpowie:

Trudno dziś być wesołym, bo aż serce boli,
Gdy człowiek wspomni sobie widok tej niedoli!
Nimeśmy z błonia zeszli, już kurzu tumany
Widać było zdaleka, a tłum nieprzejrzany
Zaległ ogromną przestrzeń, jak zasięgło oko.
A kiedyśmy już weszli na drogę szeroką,
Która prowadzi właśnie pośród naszych błoni,
Ujrzeliśmy zgiełk wielki — ludzi, wozów, koni.
Nie dość, że nędzy tyle widziały tam oczy,
Lecz i tę wielką boleść, która serca tłoczy,

Widzieć tam było można i różne cierpienia
Ludzi, którzy uciekli z resztą swego mienia!...
Przykro było oglądać zniszczony dobytek,
Który gospodarz w domu chowa na pożytek,
I dlatego w porządku ma wszystko złożone;
A dziś na wozach, taczkach byle jak rzucone.
Tutaj sito pod szafą, tam znów kołdra leży,
Tu ręcznik na zwierciedle, tam pościel na dzieży...
Wszystko w takim nieładzie! Bo zawsze tak bywa,
Że człowiek w groźnej chwili drobną rzecz porywa,
A zostawia ważniejszą. Więc pośród zamętu,
Nie chcąc się jeszcze pozbyć najlichszego sprzętu,
Zabiera stare deski, beczki, kojce, klatki.
Kobiety zaś, to dzieci, to różne manatki,
To kosze z drobiazgami na plecach dźwigały...
Przytem i z tego jeszcze był zamęt niemały,
Że kto miał słabsze bydlę, jechał krok za krokiem,
Inny zaś chciał prześcignąć wszystkich jednym skokiem.
Słychać było płacz dzieci, kobiet narzekanie,
Ryk bydła, a gdzieniegdzie jeszcze psów szczekanie..
Tam znów na wierzchu wozów, ciężko złpredowanych,
Siedziało kilku starców, chorobą znękanych.
Wtem naraz z swej kolei koło się usunie,
I wóz cały do rowu niespodzianie runie!...
Szczęście, że biedni ludzie żywi pozostali...
Bo kto widział, jak oni okropnie padali,
Myślał, że dla nich koniec już nieunikniony,
Że na miazgę z nich każdy będzie rozgnieciony...

Leżą zatem biedacy, wóz złamany leży;
Każdy myśli o sobie, nikt w pomoc nie bieży!...
Słychać, jak przywaleni staruszkowie jęczą,
Bo niedosyć, że wiekiem zgrzybiałym się męczą,
Jeszcze kurzem się duszą i pieką na słońcu!
Aż myśmy im na pomoc pospieszyli w końcu...

Na to zacny gospodarz mówił ze wzruszeniem:

Oby ich Herman znalazł, opatrzył odzieniem
I posilił cokolwiek! bo mnie strasznie boli
Widok okropnych cierpień i takiej niedoli.
Toż na wiadomość o tém, wysłaliśmy z domu
Syna, by w tém nieszczęściu mógł dopomódz komu.
Lecz dość tych smutnych wspomnień, bo w serce się [trwoga
Wciska, stokroć gorsza, niż niedola sroga.

Pójdźmy zatem do izby, gdzie więcej jest chłodu,
Bo ni słońce, ni upał nie znajdzie tam wchodu,
Mateczka zaś starego wina nam dobędzie;
Tu siedzieć nieprzyjemnie i much pełno wszędzie.

Poszli tedy, by użyć chłodu przyjemnego,
Matka zaś zaraz kubki ze szkła zielonego
I butelkę przyniosła na kręgu cynowym.
Więc wszyscy trzej zasiedli przy stole dębowym.

Gospodarz zaś wnet w kubek plebana uderza,
Ale aptekarz kubka tknąć się nie zamierza.
Zatem rzecze do niego te uprzejme słowa:

Pijcie panie sąsiedzie! Wszak Bóg nas uchowa
Od nieszczęścia, bo pewno już nie ma zamiaru
Tak nas dotknąć, jak dotknął w owych dniach pożaru;
Odtąd bowiem nas strzeże, jako oka w głowie.

Miejcie dobrą nadzieję — rzekł pleban — panowie,
Bo ona nas miarkuje w dniach pomyślnej doli,
A nawet strata przy niej nie tyle nas boli.

Na to znowu gospodarz odparł doświadczony:

Nieraz ja w głębie Renu patrzyłem zdumiony —
I podziwiałem rzekę, która tak wspaniale
Płynie; lecz wówczas nie myślałem wcale,
Że niebawem te brzegi staną się wałami,
Aby naród niemiecki strzedz przed Francuzami.
Przecież myślę, że wkrótce przyjdzie czas spokojny,
Bo cały świat ma dosyć tej okropnej wojny;
Ale skoro nastanie spokój pożądany,
I gdy uderzą w dzwony, zagrają organy,
Ozwie się przy *„Te Deum“* trąb wspaniałe granie —
Wówczas... u stóp ołtarza niech mój Herman stanie —
Przed Wami, mój Proboszczu! — z swoją narzeczoną,

Abym tę uroczystość wszędzie uświęconą
Uczcił i w mej rodzinie jakoby dzień święty!..

Lecz cóż, kiedy ten chłopiec wciąż tylko zajęty
Gospodarstwem, gotowy do każdej roboty,
Ale stroni od dziewcząt, nie ma też ochoty
Do tańca, który młodzi tak lubią od wieka!...

To rzekł i słuchał chwilę — bo właśnie zdaleka
Turkot wozu wyraźnym rozlegał się echem,
Aż się nareszcie w bramę zatoczył z pośpiechem.

II.

Terpsychora.

Herman.

Gdy niebawem do izby wszedł syn gospodarza,
Wnet pleban bystrém okiem postać jego zważa,
Badając jego ruchy, oblicze, postawę,
Gdyż w poznawaniu ludzi niezwykłą miał wprawę.

Po chwili zaś do niego rzekł słowa życzliwe:

Wracasz mi tak zmieniony, oczy masz tak żywe,
Jakich zwykle nie miewasz! Pewnie dobrze dary
Rozdałeś i dziękowań słyszałeś bez miary.

Czy je dobrze rozdałem? — Herman odpowiada —
Wszakże o tém samemu sądzić nie wypada.
Dość, że słuchałem serca, bo w głos jego wierzę;
Jak się zaś rzeczy miały, to opowiem szczerze:

A najpierw sama matka tego nie zaprzeczy,
Że zbyt długo szukała owych starych rzeczy;
Wino, także i piwo dość późno mi dano,
Stąd niedziw, że nie mogłem wyjechać tak rano.
Gdym zaś był na gościńcu, wtedy powracali
Już nasi, a tamci już byli w oddali;
Zatem zaciąłem konie, albowiem słyszałem,
Że zanocują we wsi; gdy zaś dojechałem
Na trakt nowy, wtem patrzę, wóz ogromny jedzie.
Dwa duże silne woły ciągną go na przedzie,
Z boku idzie dziewczyna, śmiało je kieruje,
To je kijem popędza, to znów zatrzymuje.
Lecz gdy mnie zobaczyła, przystąpiła śmiało
I rzekła:
Nie zawsze tak się z nami działo,
Jako nas dziś widzicie w niedoli wygnania.
Dlatego nie mam jeszcze wprawy do żebrania
U niechętnych zazwyczaj do jałmużny ludzi,
Chcących zbyć się żebraka, gdy zbytecznie nudzi;
Jednak mówię, bo muszę: Oto położnica,
Żona niegdyś możnego naszej wsi dziedzica,
Teraz zaś ciężko chora tam na słomie leży,
A na jej rękach dziecię małe, bez odzieży.

Więc jedziemy powoli tą nieznaną drogą,
A kto wié, czy nam nasi w tej biedzie pomogą,
Jeżeli ich zawczasu zdołamy dopędzić
W wiosce, w której dzisiejszą noc mamy przepędzić.
Jeśli więc trochę płótna ze sobą wieziecie,
Raczcie je ofiarować, by okryć to dziecię...

A gdy dziewczyna do mnie te mówiła słowa,
Dźwignęła się ze słomy położnica owa,
Wybladła i z choroby bardzo wynędzniała,
I jakby wzrok proszący ku mnie skierowała...

Ja zaś wtedy odrzekłem: Nieraz Bóg dozwoli
Dobrym ludziom przewidzieć wielkość tej niedoli,
Która bliźnim zagraża; stąd i moja matka,
Aby was nie przygniotła nędza do ostatka,
Kazała mi wyjechać z zawiniątkiem małem,
Które wam chcę powierzyć.
Więc je rozwiązałem
I wyjąłem bieliznę, oraz szlafrok stary...
Dziewczę na to:
Kto w szczęściu, ten nie daje wiary
Że się i cudy nieraz zdarzają na świecie;
Lecz gdy ciężka niedola człowieka przygniecie,
Wnet pozna rękę Bożą, która światem wodzi!...
Coście dla nas zrobili, Bóg wam wynagrodzi!...

Tu widziałem, jak chora dary oglądała,
Jak szczególniej flanelki miękkość próbowała.

Spieszmy, rzekła dziewczyna, teraz czasu niema,
Lecz tam, gdzie gmina nasza na noc się zatrzyma,
Wszystko dziecku przyrządzę, czego tylko trzeba.

Potem mnie poleciwszy łaskawości nieba,
Zacięła swoje woły — i wóz w drogę ruszy.

Ja zaś zostałem w miejscu, bo wnet w mojej duszy
Powstało zapytanie, czy jechać należy
Do wsi, czy lepiej będzie, jeśli się powierzy
Wszystkie dary dziewczynie, by je wedle woli
Rozdała towarzyszom nędzy i niedoli.
Toż wnet jej dopędziwszy, te mówiłem słowa:

Słuchaj, dobra dziewczyno, bo nie tylko owa
Bielizna, według moich rodziców życzenia,
Miała tu być rozdaną, lecz i pożywienia
I napoju cokolwiek ze sobą przywożę.
Więc pozwól, że to wszystko w ręce twoje złożę,
Spełniając w taki sposób dane mi zlecenia;
Ty rozdzielisz to według własnego sumienia.

Na to rzekła dziewczyna: Rozdam twoje dary
Każdemu według jego potrzeby i miary.

Po tych słowach jam zaraz skrzyneczkę otworzył,
Ciężkie szynki i chleba bochenki wyłożył,
Wino, piwo we flaszkach, pragnąc najgoręcej,

Gdybym tylko miał jeszcze, oddać jak najwięcej...
Ona wzięła te rzeczy, złożyła przed chorą
I pojechała, — ja zaś powracałem skoro.

Skończył Herman, a sąsiad, co był gadatliwy,
Tak się zaraz odezwał:
Stokroć ten szczęśliwy,
Kto sam jeden w tych czasach w domu sobie żyje,
Bo żony ani dzieci przed wrogiem nie kryje.
Toż błogo mi, że dzisiaj sam jestem na świecie,
Obcy wszelakim troskom o żonę lub dziecię...
Nieraz myślałem o tém — i na zły wypadek,
Zebrałem grosz, klejnoty, po matce mej spadek,
Zachowany w całości; — coby się nie dało
Wziąć, to z bólem serca zostaćby musiało.
Jednak ziółek i pilnie zbieranych korzeni
Niechętnie bym porzucał, bo i to się ceni,
Chyba przy prowizorze; w takim razie bowiem
Z gotówką w mej kieszeni, z ocalonem zdrowiem,
Mógłbym resztę zostawić i uciec — aż miło...

Na to wnet Herman odrzekł z przekonania siłą:

Nie pochwalam ja zdania waszego, sąsiedzie;
Bo czyżto człowiek zacny, co w szczęściu lub biedzie
O sobie tylko myśli, ratuje sam siebie,
A dla drugich litości nie czuje w potrzebie.
Ja sam dziś od małżeństwa nie byłbym daleki,

Bo niejednej dziewczynie dziś trzeba opieki,
A i mężowi żona dziś rozjaśni czoło!...

Tu się ojciec Hermana odezwał wesoło:

Rzadko tak mądre słowo wyrzekłeś Hermanie!
Potém zaraz i matka swe powiada zdanie:

Tak, mój synu! rodzice przykład tobie dali,
Którzy się kiedyś także w smutnych dniach pobrali;
Większe nawet nieszczęście nas dwoje złączyło!...
Pomnę ów poniedziałek i wszystko, jak było.
Spaliło się dniem przedtém w mieście domów wiele...
Choć lat temu dwadzieścia, pomnę tę niedzielę!
Upał był niesłychany; stąd wielki brak wody...
Wielu poszło w sąsiednie wsie, młyny, gospody,
Aż tu naraz wybucha pożar w końcu miasta,
Szybko szerzy się ogień, wiatr gwałtownie wzrasta,
Pełne zboża stodoły w płomieniach stanęły —
I wnet aż po sam rynek ulice spłonęły,
A z niemi domy nasze...
W nocy tej niedzieli,
Pilnowałam na polu sprzętów i pościeli;
Wreszcie trochę usnęłam, a gdym się zbudziła,
Ujrzałam nagie mury i kominów siła,
Co sterczały złowrogo; wtem słońce pogodniej
Zeszło, więc odetchnęłam cokolwiek swobodniej.
Potem pobiegłam szybko, gdzie nasz dom spalony,

W tej nadziei, że znajdę drób mój ulubiony.
Owóż kiedy po gruzach i zgliszczach stąpałam,
Naraz naprzeciw siebie twą postać ujrzałam,
Bo twoje piękne konie wtedy się spaliły,
Stajenka się zapadła, a belki się tliły. —

Tak staliśmy naprzeciw ze smutnem obliczem —
A że mur się obalił, niedzieleni niczem. —
Wtedy dłoń moją wziąłeś, przystąpiwszy blisko,
I wyrzekłeś te słowa: Uchodź ztąd Elizko,
Bo popiół tak gorący; potem na ramiona
Wziąwszy, poniosłeś mię, gdzie brama sklepiona,
Tasama, co dziś stoi, bo z całego mienia
Ona tylko została wolna od płomienia.
Tam więc mnie posadziłeś i usty swojemi
Dotknąłeś, choć broniłam... Wreszcie uprzejmemi
Słowy się odezwałeś:
„Gdy wszystko popiołem,
My te domy nanowo odbudujem społem,
Ja chętnie ojcu twemu pomocy udzielę.“

Nie rozumiałam wówczas z twojej mowy wiele,
Aż wkrótce swaty przyszli przez cię wyprawieni,
I myśmy wnet już byli z sobą zaręczeni...
O, pamiętam tę belkę spaloną na poły —
I wschód słońca, jak rzadko, pogodny, wesoły,
Bo dzień ten dał mi męża, zaś syna powiłam
Wśród wojennych zaburzeń, gdy tak młodą byłam...

Więc pochwalam, Hermanie, twe szczere zamiary,
Byś się żenił w tych czasach, nieszczęsnych bez miary...

Na to w tej chwili ojciec odezwał się żywo:

I ja pochwalam zamiar i powieść prawdziwą
Znajduję w ustach matki, bo wszystko tak było,
Lecz wybrałbym co lepsze, gdyż nie bardzo miło
Nanowo rozpoczynać swój zawód i życie.
Nie każdy też zmuszony żyć tak pracowicie,
Zwłaszcza, komu rodzice majątek oddali,
Aby na nim swobodnie mógł pracować daléj.
Wszędzie trudny początek, a zwłaszcza na roli,
Gdzie trzeba drogie rzeczy zgromadzać powoli...
Zatém myślę, że Herman, jako syn jedyny,
Wybierze sobie żonę z majętnéj rodziny.
Bo to bardzo przyjemnie, gdy żoneczka miła
Przyniesie razem z sobą i zasobów siła;
Nie próżno bowiem matka dla córek kochanych
Sposobi zapas płócien rozmaicie tkanych,
Kumowie dla nich srebro szanują bez miary,
A ojciec pilnie zbiera i składa talary...
To wszystko niechaj żona ze sobą przynosi
W dom tego, co rodziców o jej rękę prosi.
Wiem, jak się szczęśliwemi czują gospodynie,
Kiedy w izbach i kuchni widzą swe naczynie.
Posażnej zatem żony życzyłbym synowi,
Bo inaczej kobieta mniej miła mężowi;

Niewiele w jego oczach cenniejsza od sługi,
A krótki czas miodowy — czas niewoli długi.
Osłodziłbyś mi starość, mój drogi Hermanie,
Jeśli tak, jako pragnę, niedługo się stanie,
Że powitam synowę u progu mojego —
W jednej z córek sąsiada z domu zielonego.
Bo to człowiek zamożny, majątku ma sporo,
A wszystko po nim — tylko trzy córki zabiorą...
Najstarsza już po słowie, już tedy zajęta,
Ale za to dwie młodsze, to właśnie dziewczęta
Na wydaniu i mogą wyjść za mąż niedługo,
Więc wziąłbym, będąc tobą, jednę albo drugą...

Na te słowa syn skromnie ojcu odpowiada:

Wziąłbym zapewne jednę z trzech córek sąsiada,
Z któremi od dzieciństwa razem się bawiłem,
A często przed swawolą chłopaków broniłem...
Lecz to już dawne czasy; dziewczęta powoli
Zapomniały tych pustych zabaw i swawoli...
A jakie wykształcone!... Nieraz tam bywałem,
Gdyż woli waszej, ojcze, posłuszny być chciałem,
Choć nigdym się nie bawił w tym domu przyjemnie,
Bo wciąż musiałem znosić, jak się śmiano ze mnie.
To z grubego im sukna mój surdut zrobiony,
To barwa zbyt powszednia, to włos źle strzyżony.
W końcu już się stroiłem, jak kupczyków wiele,
Co to zawsze na spacer wychodzą w niedzielę;

Ale się wnet spostrzegłem, że i to zawiodło...
Bo wciąż ze mnie szydzono. To już mnie ubodło,
Tem bardziej, że mych chęci zrozumieć nie chciały,
Choć one tak wyraźnie ku nim się zwracały,
A szczególniej ku jednej, ku najmłodszej Misi.
Więc wziąłem na Wielkanoc ów surdut, co wisi
Dawno w szafie, a wtedy był zupełnie świeży,
I włosy sfryzowawszy pięknie, jak należy,
Wszedłem. — Parsknęły panny, lecz tem się nie trwożę;
Misia grała, a stary był w dobrym humorze,
Ciesząc się śpiewem córek. Ja, z ciekawą miną,
Słyszę ciągle te słowa: *Pamina, Tamino;*
Siedzę długo i milczę, aż gdy gra skończona,
O tekst się zapytałem i o te imiona.
Panny w śmiech, ale ojciec rzecze w tym sposobie:
Kto był Adam i Ewa, to dość wiedzieć tobie.

Na to znów wszystkie panny rozśmiały się szczerze,
Chłopcy także, a stary aż w boki się bierze...
Mnie kapelusz z rąk wypadł, spłonąłem od gniewu,
Lecz śmiech trwał nieustannie wśród grania i śpiewu.
A gdy wreszcie wyszedłem pełen gniewu, sromu,
Przysiągłem, że nie pójdę już do tego domu.
I dotrzymałem słowa, lecz z owej przyczyny
Dały mi zaraz panny nazwisko *Taminy*.

Na to matka: Tak długo gniewać się niegodzi
Ludziom, a zwłaszcza takim, co jeszcze tak młodzi.

Misia — dobra dziewczyna, zawsze cię lubiła,
Ją więc tobie za żonę wybraćbym radziła.

Ale syn odpowiedział: Cóż, gdy przykrość owa
Długo w głębi mojego serca się przechowa;
Już jej nie pragnę widzieć ni słuchać jej śpiewu.

Na to uniósł się ojciec i rzekł pełen gniewu:

Nigdy z ciebie pociechy nie miałem dowoli,
Bo cała twa przyjemność przy koniach lub roli,
Co i lada parobek potrafi dokazać!..
Za to ja nie mam syna, którego pokazać
Światu byłoby sercu ojcowskiemu miło...
Próżno dobre matczysko mnie zawsze łudziło,
Bo ni czytać, ni pisać nie chciałeś przy stole —
I dlatego ostatni byłeś zwykle w szkole.
Nie mogło być inaczej, tak musiało zostać,
Kiedy człowiek nie pragnie wyżej się wydostać..
Gdyby tak moi starzy byli o mnie dbali,
Posyłali do szkoły i kształcili dalej,
Miałbym dzisiaj coś więcej, niż dom „pod lwem złotym“...

W tej chwili Herman powstał i do drzwi się potem
Nieznacznie i powolnym zaczął zbliżać krokiem.

Spostrzegł to zaraz ojciec i rzekł z gniewnym wzrokiem:
Idź bratku, znam ja dobrze twą koźlą naturę,

Ale wara mi myśleć, byś mi chłopską córę
Do domu się ośmielił za żonę wprowadzić!
Żyłem długo i z ludźmi umiem sobie radzić:
Gościom, czy to panowie, czyli wielkie panie,
Coś grzecznego powiedzieć zawsze jestem w stanie. —
Niechaj tedy synowa za to mi odpłaca,
Aby się nagrodziła moja długa praca;
Niechaj mi umie pięknie grać na fortepianie,
By można w domu przyjąć i panów i panie,
Jakto każdej niedzieli sąsiad czynić może.

Wtem syn pocisnął klamkę i już był na dworze.

III.

Talia.

Obywatele.

Wymknął się zatem Herman tym słowom surowym,
Ale ojciec wciąż prawił sposobem takowym:

Cóż tedy na to robić, gdy daremna rada
Szukać tego w człowieku, czego nie posiada.
Więc spełnienia mych życzeń pragnę nadaremnie,
By Herman był na świecie czémś wyższém odemnie.
Cóżby się bowiem z domem albo z miastem stało,

Gdyby go wciąż odnawiać ludziom się nie chciało;
Bo człowiek nie jest grzybem i powinien przecie
Zostawić ślad po sobie, że żył na tym świecie.
A jak z porządku w domu — poznać właściciela,
Tak i miasto swym władzom świadectwa udziela. —
Gdzie się rysują wieże, rozpadają mury,
A po ulicach miasta pełne śmieci dziury,
Gdzie się kamień usuwa, a nikt go nie wstawia,
Gdzie choć belki nadgniły, dom się nie naprawia,
Tam nie dosyć sprężysta jest naczelna władza.
Bo jeśli się już z góry ładu nie wprowadza,
Natenczas i mieszczanin nie czyni inaczej,
Lecz jak żebrak przywyka do sukni żebraczej.
Dlatego wkrótce Herman w podróż się wybierze,
Aby zobaczył Frankfurt i Strasburską wieżę,
Zarówno, jak i Mannheim prawdziwie uroczy.
Kto bowiem takie miasta widział na swe oczy,
Ten i własne miasteczko przyozdabia potém.
Wszakże nieraz przejezdni chlubnie mówią o tém,
Że u nas ładne bramy, kościół odnowiony,
I bruk dobry, i kanał wodą napełniony,
Oraz dobrze pokryty i tak urządzony,
Ażeby w razie ognia mieć dostatkiem wody —
I nie ponieść tak wielkiej, jak przed laty, szkody.
Wszystko to dzisiaj mamy, dzięki miejskiej radzie,
Lecz i jam przez sześć razy zasiadał w jej składzie,
Skarbiąc sobie i wdzięczność i ludzi pochwały,
Bom był dla dobra miasta poświęcony cały...

Wkrótce taka gorliwość w niej zapanowała,
Że nawet jednomyślnie zapadła uchwała,
Aby pod nową drogę rozpocząć roboty.
Lecz nie wiem, czyli młodszym nie braknie ochoty;
Bo jedni o zabawie myślą i o stroju,
Inni znów lubią siedzieć za piecem w pokoju;
Toż boję się, że Herman już takim zostanie...

Ale wnet dobra żona swe wyrzekła zdanie:

Nadto ojciec surowo Hermana ocenia,
A w ten sposób nie spełnią się nasze życzenia.
Niepodobna, byś inną naturę weń włożył,
Potrzeba dzieci kochać, jak je Pan Bóg stworzył,
I dobrze je wychować; co zaś do przyszłości,
To im samym zostawić w miarę ich zdolności.

Każdy je spożytkuje, — każdy w pewnej mierze
Dobry jest i szczęśliwy; a ja mocno wierzę,
Że Herman będzie godnym tego, co dostanie.
Wzór w nim nawet mieć będą chłopi i mieszczanie,
Myślę też, że ostatnim i w radzie nie będzie.
Ty nieustannie łając i ganiąc go wszędzie,
Odbierasz mu otuchę wszelką do ostatka.

Po tych słowach wnet izbę opuściła matka,
Aby pocieszyć syna na sposób łagodny,
Bo chłopak to był dobry i słów dobrych godny.

Lecz ojciec się uśmiechnął i rzekł w sposób taki:

Otóżto są kobiety: zupełnie jak żaki,
Co zawsze tylko własną chcą się rządzić głową.
A uciekają zaraz przed mową surową.
Lecz ja zawsze powtarzam to praojców zdanie,
Że kto naprzód nie idzie, ten w tyle zostanie! —

Na to znowu aptekarz przemówił rozważnie:

Przyznaję to sąsiedzie i sam też uważnie
Wszystkiego, co jest nowe, chętnie poszukuję,
Jeśli lepsze, niż stare, i niezbyt kosztuje.
Lecz kto nie ma pieniędzy, czy ten dobrze robi,
Jeśli dom swój i wewnątrz i zewnątrz wciąż zdobi?
Bo człowiek, w miernym stanie żyjący na świecie,
Choć wié nieraz, co lepsze, nie pragnie go przecie,
Jeżeli brak pieniędzy na przeszkodzie stoi...
Jabym robił niejedno, lecz człowiek się boi
Jakąkolwiek w tym czasie zaczynać robotę...
Wszak dom oddawna miałem odnowić ochotę,
I większe szyby w okna chciałbym także wsadzić;
Lecz któż sobie, jak kupiec — potrafi poradzić,
Co dobrze wié, gdzie jaką rzecz nabyć należy.
Ot proszę na dom spojrzeć, co naprzeciw leży:
Jakże pięknie odbija na tle ścian zielonych
Ta biała stukaterya floresów rzeźbionych,
A te szyby ogromne i takie błyszczące,

Że niczem wszystkie domy na rynku stojące!
Ale przecież, choć taka spotkała nas szkoda,
Apteka *„Pod Aniołem“* i *„Pod Lwem“* gospoda
Nasamprzód w całém mieście były odnowione,
I zasłynął mój ogród, kędy przez czerwone
Sztachety zwykł przejezdny zazierać ciekawie.
A jeślim kiedy w grocie miał gości na kawie,
Każdy muszelek połysk podziwiał wysoko,
Co tam są osadzone, a i znawcy oko
Chwalić musiało iskrzyk i piękne korale,
Zarówno jak chwalono moję wielką salę,
Gdzieto wymalowany jest ogród na ścianie,
A po nim chodzą sobie panowie i panie,
Zrywając różne kwiaty palców kończynami...
Lecz dziś — któż się zachwyca temi obrazami?...
Ja rzadko dom opuszczam, bom trochę zgryziony,
Że we wszystkiem tak nagle zwyczaj odmieniony...
Wszystko dzisiaj inaczej, sprzęt z gładkiego drzewa,
Ani rzeźb, ani złoceń nikt dzisiaj nie miewa,
Tylko przepłaca drzewo z zagranicznych krajów!
Co do mnie, nie potępiam tych nowych zwyczajów,
Szedłbym nawet za niemi i odmieniał sprzęty,
Jednak muszę pozostać w miejscu jak zaklęty;
Bo dziś nikt robotnika opłacić nie zdoła!...
Właśnie chciałem pozłocić mojego Anioła
Nad apteką — co gniecie okrutnego smoka,
Lecz pozostał zczerniały, bo cena wysoka.

IV.

Euterpe.

Matka i syn.

Taka się w gronie mężczyzn toczyła rozprawa.
Matka zaś szła tymczasem, kędy stała ława
Kamienna, tuż przed domem — synowi tak miła.
Lecz tu go nie zastawszy, kroki swe zwróciła
Ku stajni, gdzie Hermana konie ulubione,
Bo jeszcze źrebiętami przez niego kupione.

Tam słysząc od parobka, że syn jest w ogrodzie,
Nie traci ani chwili, ale w szybkim chodzie
Wnet minąwszy stodoły, do ogrodu zdąża,
Który sięga do muru, co miasto okrąża.
Wszystkiem tedy po drodze cieszy się bez miary;
Tu gruszy, tam jabłoni podpiera konary,
Ówdzie znów gąsienice z kapusty zdejmuje,
Bo dobra gospodyni nigdy nie próżnuje.
   Wreszcie doszła do końca długiego ogrodu,
Aż pod samą altanę. Lecz i tu zawodu
Doznała, nigdzie bowiem nie widać Hermana.
Ale w murze, przy którym stała ta altana,
Furtka, niegdyś umyślnie zrobiona przez dziadka,
Była właśnie otwarta. Tędy zatem matka
Wyszła i rów przeszedłszy, tam stanęła wkońcu,
Gdzie winnica przy drodze wznosi się ku słońcu.

W górę ścieżką cienistą poszła szybkim krokiem,
Ciesząc się tu i owdzie pięknych gron widokiem,
Bo były między niemi także muszkatelki,
I czerwonawych rodzaj szlachetny i wielki.
Wszystko pilnie sadzone na pożytek miły;
Drobniejsze znowu krzaki wierzch góry pokryły,
A chociaż grona na nich wielkością nieznaczne,
Za to z nich się wyrabia wino nader smaczne. —
Już się na dzień jesienny z góry matka cieszy,
W którym na winobranie ludność cała spieszy,
Zbiera grona i gniecie, moszcz do beczek wciska,
A wieczór ze stron wszystkich zapala ogniska,
Bo w ten sposób się wieńczy najpiękniejsze żniwo.

Lecz nakoniec się matka niepokoi żywo,
Gdyż dwukrotne wołanie bezskutecznie mija,
A tylko od wież miejskich echo się odbija.
Dziwno jej teraz bardzo, że tak Herman z domu
Poszedł, nie powiedziawszy i słowa nikomu,
Zwłaszcza, że nie zwykł matki pozostawiać w trwodze,
Toż nie wątpi, że jeszcze spotka go na drodze...

Tu furtka od winnicy niezamknięta była.
Zatem przez nią natychmiast matka pospieszyła —
Aż na otwarte pole, co chociaż wysoko
Leży w górze, lecz mimo to sięga szeroko.
Szła zatem matka dalej wciąż własnym zagonem,
Ciesząc się bliskiem żniwem i kłosów pokłonem,

Co szumiały na polu jak złocista fala...
Zmierza prosto ku gruszy, widnej dobrze zdala,
A która właśnie gruntów granicę stanowi.
Kto posadził to drzewo, nikt już dziś nie powie,
Choć każdy chętnie jego owoce spożywa.
Tu zwykli obiadować żeńcy w czasie żniwa,
I pasterz tutaj w cieniu chętnie odpoczywa,
Choć, zamiast ławek, tylko kamień lub darnina.

Nie zawiodła się matka, bo ujrzała syna —
Oparty był na łokciu i w dal zapatrzony
Gdzieś ku górom, plecami ku niej obrócony. —
Zlekka tedy się jego dotknęła ramienia.
Obejrzał się, nie mogąc ukryć rozrzewnienia:
Zaskoczyłaś mnie, matko — mówił z pomięszaniem,
Ocierając łzę z oka, co błyszczała na niem.

Na to matka: Mój synu! jesteś zapłakany!
Jakiejżeto ja w tobie dostrzegam odmiany.
Powiedz, co ci dolega, co zasmuca duszę,
Że aż płakać przyszedłeś tutaj — pod tę gruszę?...

Zatem syn się ukoił i odrzekł tém słowem:
Zaprawdę nie ma serca w swém łonie spiżowem,
Kto go biednym wygnańcom dziś nie okazuje,
I rozumu ten nie ma, kto dzisiaj nie czuje
Troski o dobro kraju, — lecz o własne mienie...
Takie ja dzisiaj, matko, odniosłem wrażenie;

Dlatego też poglądam w daleką krainę,
Która żyzną przed nami zalega wyżynę...
Patrzę, jak się ku ziemi chyli kłos złocony,
Zanim w naszych stodołach piękne spoczną plony...
Cóż, kiedy wróg tak blisko, bo ni Ren nas broni,
Ni pasmo gór wysokich kraju nie ochroni
Przed narodem, co niby huragan nadciąga,
Młodych i starych zewsząd pod sztandary ściąga,
Tłoczy się strasznym tłumem, ze śmierci żartuje;
Bo po jednej nawale — druga następuje!...
A wobec tego Niemiec jeszcze siedzi w domu,
Jakby się czuł spokojnym przed razami gromu!...
O jakże mi dziś, matko, to na sercu leży,
Żem pominięty został w poborze żołnierzy,
Choć prawda, że być mogły do tego przyczyny;
Bo gospodarstwo wielkie, a jam sam jedyny.
Lecz biada, kto dziś czoła postawić nie woli
Wrogowi na granicy — niż czekać niedoli!...
Jakiś duch mi to szepnął w łonie mojem skrycie,
Abym za kraj był gotów ofiarować życie,
I w ten sposób dla drugich był prawdziwym wzorem.
Bo gdyby młódź niemiecka takim poszła torem,
Aby w granice kraju nie dopuścić wroga,
Pewnoby tutaj jego nie postała noga,
Aniby tak marniały wszystkie nasze plony,
Aniby szli w niewolę mężowie i żony...
Widzisz matko, że serce me szczerze wybrało
Szybko wykonać to, co już za dobre uznało,

Bo z długiego namysłu często złe wyrasta.
Toż nie wrócę do domu, lecz prosto do miasta
Pójdę — i ramię moje żołnierzom powierzę,
By je oddać krajowi mojemu w ofierze;
Potem niech powié ojciec, czy jest w mojém łonie
Serce, co także wyżej i szlachetniej płonie!...

Na to rozumna matka rzekła z rozrzewnieniem,
A łzy ciche płynęły z jej oczu strumieniem:
  Cóżto, mój synu, w twojej duszy się zmieniło,
Że z matką tak nie mówisz, jakto dawniej było,
Otwarcie jej i szczerze nie powiesz życzenia!
Każdyby może chwalił te postanowienia,
Lecz ja je zganić muszę, boś mi lepiej znany —
Ty zamykasz twe serce, inne twoje plany;
Ani trąbka żołnierska na ciebie nie woła,
Ani w mundur się ubrać nie pragniesz ty zgoła,
Bo choć jesteś odważny, przecież twoje pole:
Pilnować gospodarstwa i uprawiać rolę;
Zatem powiedz otwarcie, zkąd masz zamiar taki? —

  Na to rzekł syn poważnie:
                    Wszak dzień niejednaki
Zawsze bywa, a młodzian w mężczyznę się zmienia
Prędzej w ciszy, niżeli wśród życia strumienia,
W którym, jak często bywa, niejeden się gubi.
A chociaż cichy jestem, serce me nie lubi

Krzywdy ludzkiej, i rzeczy już rozpoznać zdoła.
Że zaś rękom i nogom sił nie braknie zgoła,
To wszystko czuję dobrze i wyznaję śmiało.
Lecz słowo twej nagany słusznie mię spotkało,
Bo zaiste ja prawdę odkryłem nie całą,
Mówiłem tylko słowa, aby pokryć niemi
To, co silnie zawładło piersiami mojemi.
Puśćcie mnie zatem matko! niech zginę nikczemnie,
Jeśli celu mych pragnień czekam nadaremnie.
Bo wiem, że jeden wówczas sobie tylko szkodzi,
Kiedy z jego zamiarem większość się nie zgodzi...

Powiedz mi wszystko synu, odezwie się matka,
Czy ważne, czy nie ważne, — powiedz do ostatka,
Bo mężczyzni zbyt nagle pragną końca rzeczy,
To też lada przeszkoda zamiar ich niweczy...
Roztropnej zaś kobiecie niebrak środków wielu,
A nawet dróg ubocznych, by trafić do celu.
Zatem powiedz otwarcie, czemuś tak wzruszony,
Czemu tak niezwyczajnie jesteś zapłoniony,
A wreszcie czemu łzami zaszło twoje oko?
Na to się zacny młodzian rozrzewnił głęboko
I wsparty o pierś matki przemówił ze łzami:
Srodze mię ojciec dotknął dziś swemi słowami,
A przecież wyznać mogę, że niezasłużenie,
Bo zawsze i nad wszystkich ja rodziców cenię,
I od dziecka przywykłem pełnić ich rozkazy.
Nieraz też od chłopaków znosiłem urazy

I bolesnych uderzeń przebaczałem wiele.
Lecz gdy z ojca szydzili za to, że w niedzielę
Szedł z kościoła powolnym i poważnym krokiem,
Znęcając się nad czapką lub owym szlafrokiem,
Który dzisiaj dopiero został darowany,
Wtenczas byłem w mym gniewie niepohamowany.
Jak wściekły się rzucałem, gdzie mię wiodły losy,
Oni z krzykiem okropnym, z rozbitemi nosy,
Ledwie umknąć zdołali mej zapalczywości...
  Za to dzisiaj od ojca doznaję przykrości;
Bo najczęściej ja wtedy byłem na zawadzie,
Gdy ojciec się czemkolwiek zgryzł na miejskiej radzie,
Ja wtedy odpłacałem panów rajców swary,
Nieraz wam żal mnie było, bom cierpiał bez miary...
Mimo to szanowałem mych rodziców wolę,
Którzy myślą wciąż o tem, aby dobrą dolę
Nam zgotować, a skąpią sobie przyjemności;
  A wszakże nie bogactwo jest szczęściem w starości:
Nie te stosy pieniędzy równo ułożone,
Ani łany przy łanach tak zaokrąglone!
Bo starzeje się ojciec, syn też będzie stary —
I niczego nie dozna, prócz troski bez miary!...

Spojrzyjcie tylko matko, jak pięknie tam w dole,
Rozlega się winnica i ogród i pole,
Stodoły i obory i domostwo całe!...
  A jednak, kiedy patrzę w to okienko małe,
Co z owego poddasza rzuca blask daleki,

Pomnę, jak wieczorami, nie mogąc powieki
Zamknąć, patrzyłem długo w bladą twarz miesiąca,
A raniutko wstawałem już przed wschodem słońca,
Bo ledwie kilka godzin snu mi wystarczało.
Lecz dzisiaj to mieszkanie pustém mi się stało,
Ten podwórzec i ogród i wszystkie zagony,
Wszystko to pustką dla mnie, skoro nie mam... żony!

Na to rozumna matka odrzekła coprędzej:
Pewno tego, mój synu, nie pragniesz goręcej,
By ci sprzyjało w życiu szczęście nieodmienne,
Byś swobodnie mógł pełnić prace każdodzienne.
I żony też nie bardziej pragniesz, synu miły,
Niżli twoi rodzice, którzy z całej siły
Oddawna tego pragną i skłaniają ciebie,
Byś się wkońcu postarał o żonę dla siebie.
Lecz wiem, że w tem nie twoja była dotąd wina,
Bo dokąd się nie zjawi ta właśnie dziewczyna,
Którą ci Bóg przeznaczył, dotąd próżna sprawa;
Przed złym bowiem wyborem wielka jest obawa.

Jednak powiem ci krótko: serce twe wybrało,
Od chwili gdy pełniejsze i czulsze się stało.
Wyznaj mi zatem szczerze, że owa wygnana
Jest właśnie ta jedyna dla ciebie wybrana.
O, tak! droga mateczko! syn zaraz zawołał,
Ona jest tą wybraną! a gdybym nie zdołał,
Dzisiaj jej tu sprowadzić, pójdzie w świat daleki —
I w tułaczej wędrówce przepadnie na wieki.

A cóż mi wówczas z tego, że będę majętny,
Gdy grunt i dom i ogród będzie dla mnie wstrętny,
I przywiązanie matki wstrętnem mi się stanie,
Bo miłość wiele węzłów rozwiązać jest w stanie:
A jako swych rodziców opuszcza dziewica,
Tak może syn porzucić matkę i rodzica,
I pójść za swą wybraną, choćby nawet w biedzie.
Więc niech i ja tam pójdę, dokąd rozpacz wiedzie,
Skoro ojciec stanowcze wypowiedział słowo.

Na to rozumna matka wnet odrzekła zdrowo:
Jak dwie skały, tak obaj naprzeciw stoicie, —
Niewzruszeni i dumni! — ani się zbliżycie,
Ni łagodnie nie chcecie przemówić do siebie.
Przecież, jeźli dziewczyna będzie godną ciebie,
Nie wątpię, że i ojciec na ślub z nią zezwoli,
Jakkolwiek ci oświadczył, że bogatą woli...

Bo chociaż się niekiedy i pogniewa zrazu,
To później zapomina swojego zakazu,
Jednak słusznie od syna chce mieć dobre słowo,
Bo przecież on jest ojcem i on domu głową.
Zresztą wiemy to dobrze, że zwykle po stole
Miewa i słowa żywsze i niezłomną wolę.
Kilka kieliszków wina dość dla jego głowy,
Aby już nic nie słyszał — oprócz własnej mowy.
Lecz skoro niedaleko do zachodu słońca,
To pewno i rozprawy dobiegają końca...

I ojciec złagodnieje, gdy winko wyszumi,
A w czem nie miał słuszności, to zaraz zrozumi,
Jak i krzywdę uczuje, gdy ją zrobił komu.
Zatem śmiało, mój synu, pójdź ze mną do domu,
Bo śmiały zwykle prędko osięga swe cele.
Mogą się także przydać ojca przyjaciele,
Szczególniej zaś potrzebna nam pomoc plebana.

To rzekłszy, wstała matka i zaraz Hermana
Pociągnęła; on poszedł, posłuszny jej woli. —
I tak rzecz obmyślając, wracali powoli.

V.

Polyhymnia.

Obywatel świata.

Tymczasem tam rozmowa trwała nieprzerwana,
Gdzie siedział ksiądz, aptekarz i ojciec Hermana;
A nawet przedmiot rozpraw został niezmieniony,
Tylko, że go co chwila z innej brano strony.

Nakoniec mówił pleban, z swej zacności znany:

Nie spieram ja się z wami, bo ludziom jest dany
Pociąg ku rzeczom lepszym, a jak wszyscy wiecie,
Pragniemy rzeczy lepszych i nowszych na świecie.

Lecz trzeba w tem zachować ostrożność i miarę,
Bo nieraz bywa dobre i to, co jest stare.
Niech więc dawny obyczaj nadal nam dogadza!
Wszystko dobre, — cokolwiek z rozumem się zgadza.
Zbyt wielu bowiem rzeczy człowiek jest łakomy,
Choć życie takie krótkie i los tak znikomy!...
Lecz nie ganię takiego, co nieutrudzony,
Dalekie zwiedza morza, różne świata strony,
Pragnąc wszędzie mozołu i pracy dołożyć,
Aby swojej rodzinie majątku przysporzyć.
Jednak na cześć zasłużył i ten, zdaniem mojém,
Co jako człowiek cichy, poprzestał na swojém,
Co pilnuje zagrody, dogląda obory,
I rolę swą uprawia stosownie do pory.
Bo chociaż wszystko zmienne, niezmienna jest gleba;
Tylko, że w gospodarstwie cierpliwości trzeba.
A jak drzewu nie naraz konary urosną,
Ani go kwiat okryje z pierwszą zaraz wiosną,
Tak we wszystkiem potrzeba czasu i porządku,
Spokojnej równowagi, zdrowego rozsądku.
Niech nikt zbyt wiele ziarna nie powierza glebie,
Ani zbyt wiele bydła nie chowa u siebie,
Bo pożytek jest pierwszym celem gospodarzy.
Szczęśliwy, kogo Stwórca tym zmysłem obdarzy...
On nas wszystkich wyżywi. Więc niech Bóg dozwoli
Żyć długo tym mieszczanom, co uprawę roli
Umieją dobrze godzić z przemysłem miastowym.
Dzieje się bowiem właśnie sposobem takowym,

Że nie znają, jak chłopi, twardego ucisku,
Ni kłopotu tych mieszczan, co zbyt chciwi zysku,
Lub pragną naśladować wielkopańskie mody,
A szczególniej kobiety, — choć skromne dochody...
Błogosławcie więc syna, który spokój lubi
I synowę, gdy sobie podobną poślubi...

To rzekł, — a matka właśnie z Hermanem przybyła
I za rękę ku ojcu wprost go prowadziła.

Często — rzecze — mówiłeś o tem, mężu drogi,
I ze mną się cieszyłeś na dzień dla nas błogi,
Kiedy Herman dla siebie małżonkę wybierze.
To tej, to owej jemu życzyliśmy szczerze...
Aż oto dzień ten nadszedł; niebo go zesłało,
Bóg mu żonę przeznaczył, a serce wybrało!...
Wszak samiśmy pragnęli, by sercem wybierał,
By nikt na jego wybór wpływu nie wywierał.
I otóż przyszła chwiła: serce się zbudziło —
I wybór już zrobiony, z męskiej woli siłą.
Jestto owa wygnanka napotkana w drodze.
Daj mu ją, lub inaczej — ukarzesz go srodze.

Potem przemówił Herman:
Pozwól ojcze luby,
Bym z najgodniejszą ciebie wieczne zawarł śluby!

Lecz ojciec nic nie odrzekł. — Zatem ksiądz powstaje
I tak zaczyna mówić:

Nieraz szczęście daje
Jedna chwila, stanowiąc o losach człowieka!
Na zbyt długich naradach czas próżno ucieka,
Gdy człowiek mądry działa w należytej porze
I nie waha się długo w zamiarów wyborze;
Mąci zaś ten uczucie, kto długo wybiera:
Herman ma serce czyste; dusza jego szczera
Zawsze do jednej rzeczy chęci swe zwracała,
Skromne jego życzenia, wola jego stała.
Zatem bądźcie spokojni, gdy sam Bóg sprowadza
To, czego tak pragniecie, a choć się nie zgadza
Rzecz napozór z waszemi w tej sprawie chęciami,
To tylko stąd pochodzi, że nieraz my sami
Nie znamy naszych chęci, — lecz Bóg dary z nieba
Zsyła i właśnie takie, jakich nam potrzeba.
Więc przygarnijcie dziewczę, które to sprawiło,
Że po raz pierwszy serce w nim się obudziło!
Szczęśliwy, kto ślub z pierwszą kochanką zawiera,
Bo się ta pierwsza miłość nigdy nie zaciera.
Los Hermana spełniony. Tak się zwykle dzieje,
Bo młodzian, gdy pokocha — wnet w męża dojrzeje.—
Stanowcza jego wola, a gdy zabronicie,
Smutne już odtąd będzie całe jego życie!...

Na to zaraz aptekarz swe powiada zdanie,
Bo natłoku swych myśli wstrzymać nie był w stanie:

Obierzmy i tym razem drogę pośrodkową,
Spiesz się, ale powoli! wszakto mądre słowo!
Pragnę dziś się przysłużyć memu sąsiadowi
I rozum mój obrócić ku temu celowi,
A zwłaszcza, że młodzieży trzeba przewodnika,
Zatem wprzód o dziewczynie zasięgnę języka,
I to właśnie od dobrze znających ją ludzi.
Umiem ja ważyć słowa, pozór mnie nie złudzi!

Wtem odezwał się Herman:
Zróbcie tak sąsiedzie,
Ale proszę, niech z wami i ksiądz pleban jedzie,
A tak obaj świadectwo wydacie panowie,
Wy zaś, ojcze, na mojem polegajcie słowie,
Że ona nie jest z takich, co chciwe przygody,
Zaplątać chcą w swe sidła jaki umysł młody.
Ją z domu wypędziły losy strasznej wojny,
Które swą okropnością burzą świat spokojny
I z gruntu obalają budowę niejedną,
Toż i ona została dziś wygnanką biedną;
Ileżto świetnych rodów dzisiaj w nędznym stanie,
Ile książąt i królów poszło na wygnanie!...
Więc i ona, najlepsza z swych rówieśnic grona,
Uciec musiała z kraju — biedna, opuszczona,
Choć sama bez przytułku, drugim w pomoc bieży!
Straszna to bowiem nędza, która dziś się szerzy.
Może zaś z tej niedoli mnie zabłyśnie szczęście,
Jak was po owym ogniu złączyło zamęście...

Na to ojciec zdziwiony takie mówił słowa:
Zkądże ci naraz przyszła ta płynna wymowa,
Zwłaszcza, żeś dawniej milczał lub cedził powoli;
Ale to mnie najbardziej i smuci i boli,
Że matka syna swego zachcianki popiera,
A nawet na sąsiadów on wpływy wywiera,
By tylko jego chęciom zadosyć się stało.
Więc zabraniać z mej strony na cóżby się zdało?
Skoro już łzy i opór przywidywać mogę.
Zatem, by sprawę zbadać, puszczajcie się w drogę,
I albo mi tu z Bogiem przywieźcie synowę,
Albo chłopcu wyleczcie i serce i głowę!

Skończył, a syn natychmiast rzekł z dobrym humorem:
Dziś jeszcze wam przywiodę córkę przed wieczorem,
Żonę, godną mężczyzny, co ma zdrową duszę —
I co ją uszczęśliwi, tak przynajmniej tuszę.
Za dobrych zaś rodziców wdzięczność w dobrej żonie
Znajdę pewno, a teraz zaprzęgam me konie,
Aby ruszyć natychmiast z zacnymi sąsiady,
Co tak chętnie przyrzekli pojechać na zwiady.
Co do mnie, jestem gotów słuchać ich wyroku,
I wprzód jej nie oglądać, — aż przy moim boku.

To rzekł i wyszedł z izby; tamci zaś zostali
I sprawę tak doniosłą bacznie obmyślali.

Herman pobiegł do stajni, gdzie konie spokojnie
Gryzły owies wyborny, wsypany im hojnie,

Prócz tego siano piękne, suche i pachnące. —
Szybko im tutaj włożył uździennice lśniące
I rzemienie zasunął przez sprzączki srebrzone,
Następnie przymocował cugle wyciągnione —
I wiódł konie w podwórzec, gdzie parobek w porę
Wytoczył już kolasę. Więc rumaki skore
Przypiął wnet do orczyków, bicz pochwycił w dłonie:
I w tej chwili pod bramę zajechały konie.

A gdy się dwaj sąsiedzi rozsiedli szeroko,
Zaraz wóz się potoczył i wieżę wysoką,
I miastowe za sobą wnet zostawił mury,
Bo Herman jechał szybko tak w górę, jak z góry.
Gdy wkrótce ujrzał wioskę i kościelne wieże,
Zaraz konie zatrzymać — chęć go wielka bierze.

W cieniu lip rozłożystych, co stały od wieka,
Zieleniła się łączka, widna już zdaleka:
Miejsce miłe dla włościan i dla mieszczan oka,
Gdzie studnia pod drzewami była niegłęboka,
Czysta, ocymbrowana, do czerpania wody
Dogodna, bo były tam ławki i schody.

Tu postanowił Herman zatrzymać rumaki;
Więc zaraz do przyjaciół mówił w sposób taki:

Wysiadajcie panowie, by zasięgnąć zdania, —
Czy to dziewczę jest godne mojego starania?

Jam wprawdzie tego pewny, nic mnie zbić nie zdoła,
A gdybym sam rozstrzygał, poszedłbym do sioła,
By niezwłocznie i prosto podążyć do celu!
Wy ją łatwo poznacie pośród innych wielu,
Bo wdziękom jej dorównać żadna nie jest w stanie!
Mimo to chcę wam jeszcze opisać ubranie:
Oto czerwony gorset na piersiach swych miała,
A na nim czarny stanik przyległy do ciała,
Biały rąbek koszuli okalał jej szyję,
Pod którym znów okrągły podbródek się kryje.
Głowa lekko wzniesiona ma owal uroczy,
A na niej srebrne szpilki wśród grubych warkoczy;
Szeroko sfałdowana niebieska spódnica
Odchyla drobną nóżkę, gdy stąpa dziewica.
Wszakże to wam powiadam i usilnie proszę,
Kryjcie przed nią zamiary, które w sercu noszę;
Ale pytając drugich, zważcie, co powiedzą,
I niech się wnet o wszystkiem rodzice dowiedzą. —

To rzekł, — a przyjaciele ku wsi podążyli,
Gdzie się ludzie po domach, ogrodach roili;
Wozy stały na drodze w ogromnej ciasnocie,
Mężczyzni koło koni przy swojej robocie,
Kobiety zaś bieliznę wieszały na płocie, —
Opodal się bawiły dzieci na potoku.

Cisnąc się między wozy wśród tego natłoku,
Patrzyli naokoło obaj wysłannicy,
Czy przypadkiem nie ujrzą gdzie owej dziewicy,

Ale żadna z widzianych jej nie przypomina.
W tem jakiś hałas nagle przy wozach się wszczyna;
Spierali się mężczyzni, kobiety krzyczały,
I zamęt się powiększał i krzyk był niemały...

Lecz wkrótce nadszedł człowiek poważny i stary,
Przystąpił do kłótników i uciszył swary:

Czyliż to — rzekł — niedola nie dosyć was gniecie,
Że tak jeden drugiemu ustąpić nie chcecie.
Być może, że nie każdy jest równie cierpliwy,
Lecz zgodnym być powinien, kto jest nieszczęśliwy!
Dzielcie się tem, co macie, w braterskim sposobie,
Byście na litość ludzką zasłużyli sobie.

Tak przemówił staruszek. — Wnet cisza nastała; —
I znów zgoda pomiędzy ludźmi panowała.

Lecz skoro ksiądz usłyszał tę starca przemowę,
Zaraz zdołał ocenić mądrą jego głowę.
Przystąpił więc do niego i rzekł w sposób taki:

O, zaprawdę, mój ojcze, jeśli naród jaki
Żyje w szczęściu, przez ziemię bogatą żywiony,
I co rok zbiera na niej pożądane plony,
Wówczas jest wielu mądrych i zacnych w narodzie;
I wszystko idzie łatwo, w spokoju i zgodzie.
Żaden naówczas nie zwykł występować z pychą,

Wszystko dzieje się dobrze i zgodnie i cicho.
Lecz gdy zwyczajne drogi rozburzy niedola,
Gdy zmarnieje domostwo i ogród i rola,
Gdy rodziny porzucą swe ciche mieszkania
I pójdą na tułactwo srogiego wygnania, —
Wtenczas bywa ceniony mąż pełen rozumu,
Który umie wybornie przemówić do tłumu.—
Pewno urząd sędziego wśród tych ludzi macie,
Skoro tak szybko swary uciszać zdołacie,
Że gdybym sam nie widział, to nie dałbym wiary.
Toż mi się przypomina ów dowódzca stary,
Za którego przewodem szła przez puszczę rzesza;
Jozuę, zda się, widzę — albo też Mojżesza!

Na to wnet odrzekł sędzia z powagą wejrzenia:
Nie łatwo o podobne dzisiejszym zdarzenia —
Tak w historyi biblijnej, jak i w dziejach świata!
Kto przeżył dni obecne, ten już przeżył lata.
Tak mnogie się wypadki w kilku dniach skupiły,
Że człowiek zda się starym, choć ma jeszcze siły;
A jak w krzaku ognistym owemu plemieniu,
Tak nam Bóg się objawił w pożarów płomieniu.

Gdy pleban miał ochotę zapytywać dalej,
Jakich przygód i ciosów wygnańcy doznali,
Szepnął mu wnet aptekarz z tajemniczą miną:
Mówcie z nim, ja tymczasem pójdę za dziewczyną. —

Ksiądz skinął na to głową, ów zaś szedł na zwiady,
Krążąc pomiędzy płoty, stodoły i sady.

VI.

Klio.

Obraz wieku.

A gdy pleban sędziemu zadawał pytania
O doznanych cierpieniach i biedach wygnania,
Odrzekł wreszcie staruszek:
Któż to wszystko zliczy,
Co myśmy już doznali cierpień i goryczy,
Zwłaszcza, że nam nadzieje tak piękne zniszczono!
O bo jakże nam żywo uderzyło łono,
I jakiemżeto tętnem krew płynąć zaczęła
Na wiadomość, że nowa jutrzenka błysnęła,
Że się myśl o wolności już na świecie budzi,
Że będzie równość prawa, równość wszystkich ludzi!
Już sobie każdy zaczął tworzyć życia cele; —
Pękł łańcuch, co krępował dawniej krajów wiele,
Rządzonych samolubnie przez próżniacze dłonie!...
I wszyscy swoje oczy zwracali ku stronie,
Kędy leżało miasto, ta stolica dawna,
Która się teraz stała jeszcze bardziej sławna.

Nazwiska zaś tych mężów, którzy świata losy
Obiecywali zmienić — wielbiono w niebiosy.
A gdy się głos przestrogi nigdzie nie odzywał,
Więc i nas, jako bliższych, ten zapał porywał...

Potem wybuchła wojna!... wolności rycerze
Zbliżali się już do nas, — niosąc nam przymierze,
Jak najbliższym sąsiadom zaraz w pierwszym rzędzie.
I już sztandar wolności zatykano wszędzie,
Obiecując samorząd i liczne swobody!
Cieszył się zatem starzec, radował się młody
I wszyscy się pod nowe sztandary skupiali,
Bo zwycięzcy Francuzi najpierw pozyskali
Umysły naszych mężczyzn zamiarem tak śmiałym,
A potem serca niewiast — urokiem wspaniałym!...
Nikt się zatem nie żalił na wojny zniszczenia,
Bo już każdy w swej myśli przyszłość opromienia
I oczy wciąż kieruje ku tym drogom nowym,
Ku tym czasom wesołym, nadziejom różowym, —
Kiedy się wojna sroga nakoniec zakończy,
I oblubieńców para już się w tańcu łączy...
I nadzieją wesela cieszyć się zaczyna!...
Wkrótce jeszcze szczęśliwsza nadeszła godzina,
Bo największe pragnienie spełniać się zdawało,
I wszyscy o wolności rozprawiali śmiało...

Wtem nadciągnęły chmury!... O władzę rządzenia
Spór rozpoczęli ludzie źli i bez sumienia...

Mordowali się wzajem, gnębili sąsiadów,
Śląc na nich zgraje, chciwe łupów i napadów!...
Więc rabowali wszyscy, — słabszy, czy mocniejszy;
I z dniem każdym nastawał ucisk okropniejszy!...
Nie słuchali skarg naszych, nie zważali na nic,
Aż wreszcie rozpacz nasza już nie miała granic:
Każdy poprzysiągł zemstę za krzywdy znoszone
I za piękne nadzieje, dwukrotnie zniszczone.
Wreszcie na stronę Niemców szczęście się obraca,
A Francuz w marszach spiesznych do kraju powraca...
Teraz myśmy dopiero poznali los wojny,
Dotąd bowiem zwycięzca dla podbitych hojny,
Dokąd z nich ciągnąć może dla siebie pożytek,
Potem, — nie dość, że wszystek zabiera dobytek,
Lecz w dzikości szalonej, w chęciach rozpaczliwych,
Dopuszcza się uczynków haniebnych, straszliwych:
Nie uzna nic świętego, napada, obdziera,
Nawet niewiasty słabe hańbi, poniewiera,
Nędzną śmierć przeczuwając — używać się spieszy
I krwi strasznym widokiem okrutnik się cieszy!...

Wreszcie zawrzał gniew wielki w mężów naszych łonie;
Więc powstali do walki we własnej obronie.
Wszyscy za broń chwycili, każdy w bitwę spieszy,
Ośmielony popłochem bladej zbiegów rzeszy.
Dzwon, na alarm bijący, ciągle trwoży ludzi,
Lecz już niebezpieczeństwo zapału nie studzi;

Już rolnicze narzędzia na broń zamieniono,
Widły, cepy i kosy krwią ludzką zbroczono,
I nie miano dla wroga względu ni litości,
Bo wszystkich opanował gniew i szał wściekłości!...
  Obym już nie oglądał ludzi w tem spodleniu,
Bo lepiej widzieć zwierzę w dzikiem rozbestwieniu!
  O, niech o samorządzie człowiek nie rozprawia,
Bo skoro niema rządu, panują bezprawia!...
  Dzielny człecze! — poważnie pleban odpowiada,
Za to zdanie was pewno ganić nie wypada.
Boście cierpieli wiele przez szał, nierozwagę.
Lecz i te smutne czasy biorąc na uwagę,
Przyznacie pewno sami, że w dniach tak szalonych
Nie brakło także czynów zacnością natchnionych.
Cnota w głębi się kryje, lecz nieraz się budzi
I zjawia się jak anioł lub bóstwo wśród ludzi.

Na to czcigodny sędzia tak zaraz przemawia:
Wy mnie tak pocieszacie, jak się zwykle mawia
Pogorzelcom: że chociaż spaliło się wiele,
Toć tam przecież coś złota zostało w popiele. —
Zatem cieszy się biedak, gdy coś znaleść zdoła.
Podobnie i myśl moja zwraca się wesoła
Ku tym czynom piękniejszym, choć ich tak niewiele...
Pomnę, jak się jednali dwaj nieprzyjaciele,
By wspólnemi siłami ratować ojczyznę!
Jak się młodzieniec nagle zamieniał w mężczyznę,

Starzec stawał się młodym, dorastało dziecię,
A nawet i płeć słaba, jak ją zwykle zwiecie,
Okazywała dzielność i męstwo przytomne.
Szczególniej zaś o śmiałym uczynku tu wspomnę,
Który jedna odważna dziewica spełniła,
Gdy sama kilku dziewcząt i domu broniła;
Mężczyźni bowiem poszli naprzeciwko wroga,
Aż naraz w gronie niewiast rozlega się trwoga,
Bowiem jacyś hultaje, jak dzikie zwierzęta,
Cisnęli się do izby, gdzie były dziewczęta.
Wtem zobaczyli postać tej pięknej dziewicy,
Tulącej je do siebie; mimoto, jak dzicy,
Rzucają się na drżące od strachu wielkiego.
Aż ona wyrwie szablę z rąk łotra jednego —
I tak go nią ugodzi, że upadł zbroczony.
Potem zaś ową szablą tnąc na wszystkie strony,
Obroniła dziewczęta, zbójów odegnała,
Wreszcie zamknąwszy bramę, na odsiecz czekała.

Księdzu, skoro usłyszał pochwały takowe,
Zaraz wstąpiły w duszę i nadzieje nowe.
Więc pragnął już zapytać o losy dziewczyny,
Czy dzieli smutną dolę wygnanej drużyny,
Gdy wtem nadszedł aptekarz i zaraz do ucha
Jął szeptać takie słowa, których pleban słucha:

Przecież ją odszukałem pomiędzy setkami,
I to według opisu! Chodźcie spojrzeć sami,

A namówcie sędziego, aby poszedł z nami.
Obrócili się zatem i szli zaraz dalej,
Lecz bez starca, bo tego właśnie zawołali
Jacyś ludzie, pragnący mądrej jego rady;
Więc tylko szedł aptekarz i pleban na zwiady.

Gdy stanęli przy płocie, rzekł tamten:
Widzicie
Tę dziewczynę, co właśnie rozwija tam dziécię;
Ta poszewka niebieska i ten perkal stary,
Toż to właśnie przez niego przywiezione dary.
Szybko też ich użyła ku dziecka wygodzie,
To już znak niezawodny, lecz i inne w zgodzie;
Oto właśnie ów gorset sznurowany ładnie,
Do niego czarny stanik przylega dokładnie,
Biały rąbek koszuli okala jej szyję,
Pod którym się tak pięknie ten podbródek kryje,
Głowa lekko wzniesiona, ma owal uroczy,
A na niej srebrne szpilki śród grubych warkoczy;
A chociaż teraz siedzi, widać wzrost dziewicy
I nóżkę z pod fałdzistej, niebieskiej spodnicy...
To niezawodnie ona! Rzecz tylko wątpliwa,
Czyli dziewczyna dobra, skromna i cnotliwa.

Spojrzał pleban i zaraz rzekł słowa takowe:
Niedziw, że młodzieńcowi zawróciła głowę,
Bo zaiste i starszy zachwycić się może. —
Szczęśliwy, kogo pięknym utworzyłeś Boże,

Każdy go chętnie wita, jak gościa miłego,
Zwłaszcza, jeśli uprzejmość ma jeszcze prócz tego.
Mówię wam, że młodzieniec znalazł ów skarb błogi,
Co mu będzie osłodą pośród życia drogi,
Stojąc przy jego boku, jak żonie przystało,
Bo pewnie dusza piękna, gdzie tak piękne ciało.
A kto za młodu czynnym i tak rażnym bywa,
Tego zwyczajnie czeka i starość szczęśliwa.

Na to z powątpiewaniem aptekarz odpowie:
Ja pozorom nie ufam, bo cenię przysłowie:
Że trzeba wpierw z człowiekiem spożyć beczkę soli,
Zanim się będzie można przekonać dowoli,
Jak jego przyjaźń ocenić, jak z nim postępować.
To też i nam potrzeba ostrożność zachować;
Więc wprzód wybadać ludzi, którzy dziewczę znają,
I zapytać o zdanie, jakie o niej mają! —

I ja lubię przezorność, — pleban odpowiada,
A zwłaszcza w sprawie obcej mieć ją nam wypada. —

Tak mówiąc, szli naprzeciw sędziego powoli,
Który właśnie szedł drogą, swym zajęciom gwoli.
Więc do niego przezornie ksiądz mówić zaczyna:
Powiedzcie, czy nieznana wam owa dziewczyna,
Co właśnie pod jabłonią siedzi w tym ogrodzie,
I sporządza sukienki ku dziatek wygodzie.

Sądząc z powierzchowności — zda się dziewczę dzielne,
A mamy, bądźcie pewni, zamiary rzetelne.

Więc sędzia spojrzał w ogród i wnet im odpowie:

Wszakże ją znacie dobrze już, moi panowie,
Z moich słów o dziewczynie, która w swoje dłonie
Miecz chwyciwszy, stanęła w dziewczątek obronie.
To ona! patrzcie tylko, jaka urodziwa,
I niedosyć, że silna, bo dobra, cnotliwa!
Złożyła bowiem dowód serca szlachetnego,
Pielęgnując w chorobie staruszka krewnego,
Co umarł przywalony ciężarem zmartwienia,
Nieszczęściami miasteczka, niepewnością mienia.
Śmierć też narzeczonego zniosła ze spokojem,
Bo młodzieniec szlachetny w uniesieniu swojem —
Pospieszył do Paryża, by bronić swobody,
Gdzie wkońcu padł ofiarą waśni i niezgody.

Gdy to powiedział sędzia, pleban mu dziękuje
I natychmiast z sakiewki dukata wyjmuje;
(Srebrną bowiem monetę rozdał był już wtedy,
Gdy ujrzał po raz pierwszy tych rozbitków biedy).
Dając złoto sędziemu, te słowa dołożył:
Oby ten grosz dla biednych Bóg hojnie pomnożył.

Starzec wahał się przyjąć i mówił do księdza:
Mamy cokolwiek grosza, a może i nędza

Skończy się już niedługo, co nam dziś dociska.
Ale pleban dukata do ręki mu wciska
I mówi:
Każdy winien coś złożyć w ofierze,
A kto jest w niedostatku, niechaj pomoc bierze.
Nikt dzisiaj nie jest pewny majątku, ni chleba,
I nikt nie wie, jak długo błąkać mu się trzeba,
Zanim znowu zobaczy żyzne swoje łany.

Na to wnet pan aptekarz rzekł zakłopotany:

I ja, gdybym przy sobie miał trochę pieniędzy,
Chętnie dałbym je zaraz, na ratunek nędzy.
Przecież chcę was obdarzyć, bo więcej się ceni
Uczynek, niż chęć tylko!
To rzekł — i z kieszeni
Wyjął woreczek, w którym tytuń miał schowany.
(Byłto kapciuch rzemykiem wkoło okręcany.)
Wziął połowę, co może tyle wynosiło,
Iż zaledwie na kilka fajek wystarczyło.

Dar to zbyt skromny! rzecze. — Lecz sędzia powiada:
Owszem, dar wcale piękny, bo tytuń nielada!...

Zatem knastra[1]) przymioty pan aptekarz chwalił,
Aż wreszcie na znak księdza na bok się oddalił.

---

[1]) Rodzaj tytuniu.

Spieszmy! szepnął mu tenże, wszak tam Herman czeka,
Niechaj dobra wiadomość przed nim się nie zwleka.

Poszli tedy natychmiast i po krótkiej chwili
Już zdaleka młodzieńca obaj zobaczyli,
Stał bowiem zamyślony, o wóz się opierał,
Konie skopały trawnik, on zaś w dal spozierał.
Wtem zobaczył przyjaciół, którzy mu dawali
Jakieś znaki. Aptekarz już prawił z oddali,
Lecz ksiądz przystąpił bliżej, młodzieńca pozdrowił
I rękę mu podawszy, takie słowa mówił:

Wybornie twoje oko i serce wybrało,
Oby więc wam obojgu i szczęście sprzyjało!
Ona jest godną ciebie, nikt przeczyć nie zdoła!
Zatem corychlej jedźmy tam na koniec sioła,
By ją zabrać ze sobą.
Gdy pleban tak prawił,
Herman przecież radości swojej nie objawił,
Choć słowa te tak słodko, tak rozkosznie brzmiały.
Wreszcie westchnąwszy, odrzekł:
Pośpiech nas niemały
Tu sprowadził, a kto wie, czyli stąd do domu
Nie wrócimy powoli i z uczuciem sromu!
Bo kiedy tu czekałem, jakieś mię zwątpienie
Ogarnęło, a nawet i pewne zmartwienie.
Nie myślcie, że dziewczyna, przez was zachęcona,
Pójdzie zaraz i w moje rzuci się ramiona,

Dlatego, żem bogaty, wygnanką zaś ona!...
Taki rodzaj ubóstwa łączy się z honorem,
Jej niewiele potrzeba, — świat przed nią otworem. —
Ani nie sądźcie tego, by niczyje oczy
Nie zwróciły się dotąd na jej kształt uroczy,
Lub jej serce dla kogoś już nie uderzyło.
Zatem działajcie zwolna, bo wstydby nam było
Szybko wracać do domu, a strach mię napada,
Że może już kto inny jej serce posiada.
Bo ten, co ma jej słowo, szczęśliwy bez miary,
Moje zaś już, niestety, spóźnione zamiary!...
   Słowo dobrej otuchy ksiądz rzec był gotowy,
Lecz wprzód jeszcze aptekarz zaczął temi słowy:

   Takiej w czasach dawniejszych nie było obawy,
W pewnym bowiem porządku załatwiano sprawy.
Gdy rodzice synowi już pannę wybrali,
To najpierw przyjaciela w dom swój zapraszali,
Którego wkrótce potem wysyłali w swaty;
Przyjaciel więc w świąteczne przyodziany szaty,
Szedł zacny dom odwiedzić, wieczorem w niedzielę.
Tam z początku ukrywał swych odwiedzin cele,
Aż kierując rozmowę ubocznie i zdala,
To powie grzeczność pannie, to owych wychwala,
Od których był na swata uprzejmie proszony.

Wnet się na tem poznano, i swat doświadczony
Spostrzegł zaraz, jakiemi miał przemówić słowy.
A jak nikt się nie gniewał w wypadku odmowy,

Tak znów w razie pomyślnym swat bywał ceniony
I już na każde święto z wdzięcznością proszony,
Bowiem para małżonków zawsze pamiętała,
Czyja ręka to stadło szczęśliwie związała.
Lecz dziś, gdy wszystko w innym dzieje się sposobie,
Wyszło już to z użycia; każdy swatem sobie.
Więc też niech sobie każdy sam z koszem odchodzi,
I niechaj sam się wstydzi; cóż to komu szkodzi?

Ale Herman zaledwie słuchać mógł tej mowy,
Więc myśl głębiej powziętą wyrzekł temi słowy:

Sam chcę słyszeć jej wyrok! Cokolwiek się stanie,
Ja już takie powziąłem ku niej zaufanie,
Że może nikt większego nie miał ku kobiecie!
Jej sąd dla mnie najlepszy i najmędrszy w świecie.
Gdyby zaś i ostatniem było to widzenie,
To niech jeszcze raz ujrzę tych oczu spojrzenie,
Niechaj przynajmniej jeszcze tę kibić oglądam,
Którą do mego serca tak przycisnąć żądam.
Niech pożegnam te usta, z których jedno słowo
Może mnie uszczęśliwić, lub zgubić... odmową.
Więc puśćcie mnie samego, wy zaś powracajcie,
Przed ojcem i przed matką świadectwo wydajcie,
Że ja się nie myliłem i że ta dziewczyna
Będzie małżonką zacną i godną ich syna.

Zostawcie mnie samego, ja przez górę wrócę,
A ścieżką po pod gruszę drogę sobie skrócę.

Obym tylko, daj Boże! z nią razem powrócił,
Gdyż inaczej na wieki życie bym zasmucił.

To rzekł i zaraz księdzu wodze ofiaruje,
Który je ręką wprawną natychmiast ujmuje;
Wreszcie wsiada w kolasę i jechać zamierza.

Ale ostrożny sąsiad księdzu nie dowierza:
Chętnie wam — rzekł — w opiekę oddam moją duszę,
Ale na ciało moje pamiętnym być muszę!
Księdzu do świeckich rzeczy brać się nie wypada!

Jednak pleban z uśmiechem na to odpowiada:
Siadaj panie sąsiedzie, siadaj tylko śmiało,
A możesz mi powierzyć i duszę i ciało.
Bo ręką zaprawioną utrzymam te wodze,
I skręcić też potrafię, choć na wąskiej drodze.
Dosyć się ja w Strassburgu niegdyś najeździłem,
Gdy młodego barona towarzyszem byłem.
Moja to wówczas ręka prowadziła konie,
Przez drogę pełną kurzu, pod lipy na błonie,
Pomiędzy tłumy ludzi, co szli w tamte strony. —

Wsiadł nareszcie aptekarz, trochę pocieszony,
Lecz siedział, jakby zawsze gotów był do skoku.

Szybko pobiegły konie, spragnione obroku,
Wzbijając kopytami kurzawy tumany. —
Długo patrzył za nimi — Herman zadumany...

VII.

Erato.

Dorota.

Jak zachodzące słońce oku podróżnika
Jeszcze raz się pokaże i wnet szybko znika;
A potem wśród gęstwiny lub na ścianę skały,
Rzuci tylko w przelocie swój obraz wspaniały,
I znów dalej ucieka i znów oko znęca,
Tak zda się Hermanowi, że postać dziewczęca
Tą samą idzie drogą, przed nim ciągle krąży...

Ocknął się wreszcie młodzian i ku wiosce dąży. —
Lecz wkrótce się zatrzymał, bo wnet jego oko
Ujrzy zdaleka postać — kształtną i wysoką;
Wpatruje się dokładnie, widzi obraz znany:
Ona to właśnie była i niosła dwa dzbany,
Większy z nich w jednej miała, mniejszy w drugiej ręce,
I szła żwawo ku owej pod lipą studzience.

Na ten widok wnet chłopcu otuchy przybywa;
Idzie na jej spotkanie i tak się odzywa:

Ciebież to, lube dziewczę, widzę po raz drugi,
Jak znowu biednym ludziom oddajesz usługi!
Czemuż aż tutaj przyszłaś, gdzie to źródło bije,
Gdy tylu innych wodę z wiejskich krynic pije!...

Lecz prawda, że ta zdrowsza, smakuje też lepiej,
I pewno twoję chorą przyjemniej pokrzepi.

Ale na to odrzekła wnet dziewczyna młoda:

Już mnie za moję drogę spotkała nagroda,
Bo znów widzę młodzieńca, co nas wspomógł tyle,
A zawsze dobrodzieja spotyka się mile.
Pójdźcież więc i przyjmijcie od tych wszystkich dzięki
Co pomoc otrzymali z waszej hojnej ręki.

Czemu aż tu przychodzę, gdzie tak nieprzerwanie
Bije to czyste źródło? powiem wam, mój Panie:
Oto nie dość przezorni ludzie pomącili
Wszystką u źródeł wodę, gdy bydło poili,
Studnie zaś i koryta zbrukali przez pranie.
Niestety! człek o sobie ma tylko staranie,
A nie myśli o innych..

Słowa te mówiła,
Gdy po stopniach z Hermanem ku źródłu schodziła.
Tam usiedli oboje, lecz po krótkiej chwili
Ona się z jednym dzbanem, on z drugim nachyli.
W tem ujrzawszy swe twarze w zwierciadła przeźroczu,
Pozdrowią się wzajemnem uśmiechnięciem oczu. —

Daj się napić — rzekł Herman słodko i łagodnie.
A gdy mu dzban podała i siedli swobodnie,

Wspierając o naczynia zlekka swoje dłonie,
Samiście — rzekła — tutaj, a gdzież wóz i konie?
Stamtąd, gdziem was poznała, dobry kawał drogi.

On na to skłonił głowę, potem wzrok bez trwogi
Wzniósł — i utopił go w oczach dziewczyny;
A choć był dobrej myśli, przecież tej godziny
Nie miał odwagi wyznać, że jest mu tak miłą.
Rozum bowiem, nie serce z jej oczu patrzyło.

Zatem się opamiętał i rzekł w tym sposobie:
Pozwól na to pytanie odpowiedzieć sobie;
Po ciebie tu przyszedłem i tego nie kryję.
Ja bowiem przy rodzicach ukochanych żyję
I z nimi gospodarskie zatrudnienia dzielę,
Lecz jestem jedynakiem, a zatrudnień wiele.
Więc ja myślę o roli, ojciec o gospodzie,
A matka znów pamięta o wszystkich wygodzie.
Bo pewno ci wiadomo, iż zwykle ze sługi
Wiele bywa kłopotów — a mało posługi.

Stąd dawno matka moja szukała dziewczęcia,
Coby szczerze zechciało dzielić jej zajęcia
I zastąpić jej córkę wcześnie utraconą.

Gdym więc ciebie przy wozie ujrzał zatrudnioną,
Tak swobodną i raźną i silną i zdrową,
Zachwycony prócz tego twą rozsądną mową,

Natychmiast do rodziców moich pośpieszyłem
Z pochwałami dla ciebie; teraz zaś wróciłem
Życzenie ich wyjawić, choć w nieśmiałej mowie.

Śmiało — rzekła — powiedźcie rzecz w całej osnowie;
Nie urazę, lecz wdzięczność me serce zachowa.
Mówcie tylko, bo żadne nie trwożą mię słowa.
Chcecie mnie w służbę nająć do waszej gospody,
Bym pilnowała domu i wszelkiej wygody.
Skoro więc dobre we mnie widzicie przymioty,
I umysł nie surowy i chęć do roboty,
To ja także odpowiem krótkiemi słowami:
Posłucham woli losu i pójdę za wami.
Spełniłam mą powinność; rodzinie oddałam
Matkę i wielce wszystkich tem uradowałam.
Ci, co byli w rozsypce, już się razem łączą,
Ufni, że dni wygnania niebawem się skończą.
Każdy już w duchu swoim do kraju pospiesza,
Tak się bowiem wygnaniec zazwyczaj pociesza.
Jednak ja się nie łudzę tym cieniem nadziei
W czasach, kiedy się smutki tłoczą po kolei...
Zerwane karby świata! Któż je spoić zdoła,
Jeżli nie ucisk straszny, władnący dokoła.
Gdy więc służbę dajecie w zacnym waszym domu,
Pod okiem dobrej matki, — przyjmę ją bez sromu;
Bo podróżna dziewczyna w niedobrej jest sławie.
Pójdę więc, ale wprzódy dzbany te odstawię

I pożegnam się oraz z mymi rodakami.
Chodźcie wraz i mnie od nich odbierzcie już sami.
Wszystko chciał Herman wyznać w swym pierwszym
[zapędzie,
Ale się wnet rozmyślił: wolał ją w tym błędzie
Do domu zaprowadzić, serce zyskać potem.
Wtem wzrok jego się spotkał — z jej pierścionkiem
[złotym...
Pozwólcie — rzekła ona — niech powracam skoro,
Bo rozmowy przy studni ludzie za złe biorą,
Chociaż tak miło gwarzyć przy źródełka szmerze.

Zatem wstali oboje, lecz chętka ich bierze
Spojrzeć jeszcze do źródła. —
Ona wziąwszy dzbany,
Poszła naprzód — a za nią szedł on zadumany;
Chcąc się trudem podzielić, pragnął wziąć do ręki
Dzbanek jeden, lecz za to złożyła mu dzięki:
Zostawcie! — równy ciężar nie tak prędko znuży,
A zresztą pan mój przyszły niechaj mi nie służy;
Nie dziwujcie się temu! — tak to już wypada,
Bo kobieta niech wcześnie do służby się wkłada.
Wszak taką właśnie drogą nakoniec panuje
I tem prawem rząd domu wkońcu obejmuje.
Ona służy rodzicom, po swych braciach sprząta,
I na tem schodzi życie, że się ciągle krząta.
To nosi, to podnosi, wiecznie coś sposobi,
A to wszystko z ochotą i bez skargi robi.

Pracuje przez dzień cały, choć w nocy nie spała,
Każda jej igła dobra, każda praca mała,
Nigdy zaś nie pomyśli o własnej potrzebie,
A gdy matką zostanie, co nie zrobi z siebie!
Bo nie dość, że niemowlę ze snu budzi chorą,
Lecz prócz tego i troski przeróżne się zbiorą.
Dwudziestu tego mężczyzn zrobić nie jest w stanie,
Lecz za to są nam winni wdzięczność i uznanie.

To mówiąc, szła z Hermanem ku wiosce, przez pole,
Aż nareszcie stanęła przy owej stodole,
Gdzie zostawiła chorą z córeczkami razem;
Z tych każda niewinności prawdziwym obrazem.

Właśnie przez jednę bramę wchodzą ci oboje,
A przez drugą wszedł sędzia, wiodąc dzieci dwoje,
Opłakane przez matkę w żałości bez miary,
Nim je w tłumie odszukać zdołał sędzia stary.

Zatem z radośnym krzykiem przypadły do matki,
I nieznanym braciszkiem cieszyły się dziatki.
Skoczyły ku Dorocie, mile ją witały,
Potem chleba, owoców i wody wołały.

Ona im dzban podaje; piją pacholęta,
Potem matka i sędzia i wszystkie dziewczęta.
Dobrze ich pokrzepiła ta woda źródłowa,
Bo była kwaskowata, ożywcza i zdrowa.

Wtem poważnie dziewczyna przemówi po chwili:

Może to raz ostatni, przyjaciele mili,
Że wam ten dzbanek wody z krynicy przynoszę,
Może już nigdy więcej ust waszych nie zroszę.
Lecz gdy kto w dzień gorący udzieli wam wody,
Lub siędziecie nad źródłem w cieniu dla ochłody,
Wtenczas wspomnijcie o tej, która wam służyła
Raczej z miłości dla was, niż że krewną była.
Z żalem od was odchodzę, lecz zawsze i wszędzie
Wasza dla mnie łaskawość pamiętną mi będzie.
Zresztą dziś jedni drugim są raczej kłopotem,
I wszyscy niezadługo myśleć muszą o tem,
Aby się gdzieś umieścić, choćby wśród obczyzny,
Skoro nie można wrócić do swojej ojczyzny.
Właśnie przybył młodzieniec, tensam, co odzienie
Przywiózł małemu dziecku, a nam pożywienie.
On tedy chce mnie zabrać do domu swojego,
Abym była służącą u rodziców jego.
Więc z nim pójdę, bo lepiej jest służyć bez sromu,
Niżeli nic nie robiąc, być ciężarem komu.
Młodzian zda się rozsądny, rodzice majętni —
A zapewne i zacni, więc pójdę tem chętniej.
Bywajcie zatem zdrowi i niech wam pociecha
Rośnie z tego dziecięcia, co się tam uśmiecha.
Gdy zaś na te pieluszki oczy skierujecie,
To i o tym młodzieńcu wspomnieć też zechcecie.
Bo w nim mam jedynego opiekuna w świecie.

I wam dzięki, mój panie! — rzekła do sędziego —
Boście mi zastąpili nieraz ojca mego.

Potem dziewczę kolana przed chorą ugina,
A ta ją błogosławić ze łzami zaczyna.

Tymczasem sędzia stary mówi do Hermana:

Rozumnym zwać należy takowego pana,
Co o czeladź rzetelną stara się usilnie.
Jakoż nieraz widziałem, jak potrzeba pilnie
Zbadać konie lub bydło, które się kupuje.
A człowieka, co nieraz wszystko utrzymuje,
Albo przeciwnie, wszystko też zniweczyć zdoła,
Często bierzem do domu, — wprzód nie znając zgoła.
Więc go na los fortuny zwykle przyjmujemy,
Lecz pospiechu takiego później żałujemy.
Znać wy to wszystko wiecie, gdy dziewczynę ową
Wybraliście na sługę — zacną i wzorową.
Miejcie zatem i o niej należne staranie,
A córką się rodzicom, siostrą dla was stanie!

Tymczasem zaś do chorej przyszli w odwiedziny
Bliscy krewni, a słysząc zamiary dziewczyny,
Z dziwnemi spojrzeniami patrzą na Hermana,
Bo w nim narzeczonego widzą — zamiast pana...

Wtem Herman wziął jej rękę i tak się odzywa:
Pójdź, bo miasto daleko, a dnia już ubywa.

Tu nastąpiły kobiet wszystkich uściśnienia,
Oraz dla nieobecnych mnogie pozdrowienia.
Wkońcu z ogromnym płaczem przyskoczyły dziatki
Nie chcąc od siebie puścić swojej drugiej matki,
Chwyciły się jej sukni; aż któraś nareszcie
Krzyknie na nie kobieta: Wszak ona wam w mieście
Kupi ciastek w cukierni, o które brat prosił,
Gdy go niedawno bocian tamtędy przenosił;
Ona wróci i trąbki [1]) przyniesie złocone!

Puściły ją nareszcie dzieci ukojone;
A gdy już szła z Hermanem, jeszcze ją żegnano—
I zdaleka chustkami ku niej powiewano.

VIII.

Melpomene.

Herman i Dorota.

Kiedy tak szli oboje, słońce zachodziło
I wróżąc niepogodę, za chmury się skryło;
Lecz z po za tej zasłony błyśnie raz i drugi
I na pola złowieszcze rzuca światła smugi.

---

[1]) W oryginale *Deuten = Düten*, trąbki; patrz w słowniku Lindego.

Oby tylko — rzekł Herman — ulewa straszliwa
Nie zepsuła w tym roku tak pięknego żniwa.

Oboje chwalą zboże, co wkoło szumiało,
A wysokością prawie z nimi się równało.

Nareszcie mówi dziewczę po niejakiej chwili:

Wyście mi dobrodziejstwo wielkie wyświadczyli.
Spokojny mnie przytułek w waszym domu czeka,
Bo gdy w polu wygnaniec przed burzą ucieka,
Mnie pod dachem nie grożą owe błyskawice.
Lecz mi teraz powiedzcie, jacy są rodzice,
Którym z całego serca służyć mi przychodzi,
Wszak, kto zna swego pana, łatwiej mu dogodzi.
Bo wówczas owych rzeczy dogląda on pilnie,
Których właśnie pan jego wymaga usilnie.
Czemże waszych rodziców pozyskać mam sobie?

Na to młodzian rozsądny w tym odrzekł sposobie:

Bardzo mi się podoba twoje zapytanie,
Skoro wprzód o rodzicach pragniesz słyszeć zdanie.
Ja sam mojemu ojcu często nie dogodzę,
Choć koło gospodarstwa najstaranniej chodzę,
I o rolę się troszczę i o górę winną.
Matka zaś z tego względu jest zupełnie inną.
Dlatego też odpowiesz łatwo jej życzeniu,
Pamiętając o domu, jak o własnem mieniu.

Prócz tego ojciec lubi trochę blask zewnętrzny;
Lecz niechże się nie wydam zimny lub niewdzięczny,
Że odsłaniam tę stronę nieznanej osobie,
Czyniąc to po raz pierwszy w tak szczerym sposobie.
Jak bowiem wiele gadać nie lubię ja zgoła,
Tak przed tobą me serce nic ukryć nie zdoła.
Pewnych oznak zewnętrznych mój ojciec wymaga,
Zwłaszcza takich, jak miłość, szacunek, powaga.
Zły sługa mu dogodzi, gdy zna te zwyczaje,
A przeciwnie lepszego częstokroć wyłaje.

Na to wkrótce dziewczyna odpowiada śmiało,
Idąc cokolwiek prędzej, bo już się ściemniało:

Obojgu więc rodzicom zapewne dogodzę,
Ale z matką podobno najprędzej się zgodzę.
Od młodości nawykłam do pewnej okrasy;
Sąsiedni nam Francuzi już dawnemi czasy
Cenili wielce grzeczność, — szlachta i mieszczanie,
Chłopi tam nawet zwykli mieć o niej staranie.
Więc i w niemieckich stronach takie są zwyczaje,
Że skoro tylko dziatwa z łóżeczek powstaje,
Rodzicom na dzień dobry ręce ucałuje,
A potem do wieczora grzecznie się sprawuje.
Zatem co już od dziecka miłe sercu memu,
To szczerze okazywać pragnę ojcu twemu.
Lecz któż mi teraz powie, jak się mam zachować
Względem was, co w przyszłości macie mi panować.

Zaledwie takie słowa wyrzekła dziewica,
Gdy stanęli pod gruszą. —
Już pełnia księżyca
Wspaniałą swą jasnością cały świat oblała,
Słońce dawno zagasło — i noc zapadała.
I wystąpiły naraz gwiazdy w wielkiej mocy,
Jasne jakoby we dnie — na tle ciemnej nocy...
Stąd też owo pytanie chłopcu nader miło
Słyszeć właśnie w tem miejscu, co mu drogie było,
Bo dzisiaj łza niejedna tu za nią spłynęła.

Gdy na domiar dziewczyna w tem miejscu spoczęła,
On wziąwszy ją za rękę, te słowa powiada:

Posłuchaj głosu serca, w niem najlepsza rada...
Tu przerwał, bo mimo tak dogodnej godziny,
Lękał się, że przyspieszy odmowę dziewczyny,
A przytem na jej palcu ku swemu zmartwieniu
Uczuł pierścień! — więc usiadł obok niej w milczeniu.

Wtem ozwie się dziewczyna: Jakież to promienne,
Miłe światło księżyca, a jasne, jak dzienne!...
Widzę w mieście wyraźnie ów dom i podwórze,
I szyb ledwie nie zliczę w tem oknie na górze!...

A młodzian, co nad sobą umiał trzymać władzę:
To — rzekł — właśnie gospoda, dokąd cię prowadzę.
Ówdzie zaś na poddaszu, — jest moje mieszkanie,

Które teraz przy zmianach może twem się stanie.
Oto są nasze łany — jutro żąć zaczniemy,
A w cieniu tego drzewa w południe spoczniemy.
Lecz teraz schodźmy na dół przez ową winnicę,
Bo nie tylko, że deszczem grożą błyskawice,
Lecz wkrótce i księżyca zakryje się lice.

Wstaje więc młoda para, piękne łany mija,
Ciesząc się, że im jeszcze jasność nocna sprzyja.

Wtem weszli do winnicy, gdzie znów się ściemniało.—
Tu wiele płyt kamiennych na ziemi leżało,
Co służyły za stopnie pośród krzaków cieniu.
Lekko więc rękę sparła na jego ramieniu,
I tak za jego śladem szła zwolna dziewica...

Jeszcze czasem przez liście padał blask księżyca,
Aż wkońcu ich dokoła otoczyły chmury...
Chociaż ją silnie trzymał, gdy schodziła z góry,
Mimoto dziewczę, idąc przez nieznaną drogę,
Poślizło się na stopniu i wytknęło nogę.
Ledwie co nie upadła przez stąpienie mylne,
Lecz ją Herman pochwycił w swoje ręce silne
I zatrzymał... Więc zlekka się w jego ramiona
Zsunęła... potem łonem dotknęła się łona,
A licem jego lica...

Tak stał on przez chwilę —
Jako posąg z marmuru i zamarzył mile...

Lecz silniej jej nie objął, tylko zwisającą
Podparł — i uczuł wtedy jej serca gorąco,
A słodkie odetchnienie usta mu obwiało.
Tak wstrzymał siłą męską jej kibić wspaniałą...

Ona ból przytłumiwszy, żartując powiada:
Podobno się zmartwienie wówczas zapowiada,
Jeśli tak blisko domu noga się potyka.
Czemuż nie lepsza wróżba mię tutaj spotyka!...
Pozwólcież trochę spocząć; niech mojego pana
Za sługę kulejącą nie spotka nagana.

IX.

Urania.

Widok na przyszłość.

Muzy, wy, których pieczy miłość jest oddana,
Któreście dotąd wiodły dzielnego młodziana —
I dziewczę mu przed ślubem do piersi przycisły,
Pomóżcie piękną parę spoić w węzeł ścisły;
Szybko rozpędźcie chmury, odsłońcie nadzieje,
Ale powiedzcie najprzód, co się w domu dzieje!...

*　　*
*

Już matka po raz trzeci w wielkim niespokoju
Wychodzi i przychodzi do mężczyzn pokoju,
Mówiąc o bliskiej burzy, księżyca ściemnieniu,
Niebezpieczeństwach nocy, syna opóźnieniu.
Żali się na przyjaciół, że nic nie mówili
Z dziewczyną, że samego Hermana puścili.

Nie powiększaj też złego! — rzekł mąż niecierpliwie —
Wszak widzisz, jak my końca czekamy skwapliwie.
Ale natychmiast sąsiad rzekł z wielkim spokojem:

Ja zawsze w takiej chwili wdzięcznie w sercu mojem
Wspominam ojca mego, co mnie tak prowadził,
Że wszelką niecierpliwość z mej duszy wygładził
I zrobił mnie spokojnym przez swoje nauki.

„Jakiejżto — ksiądz zapytał — użył z wami sztuki?

Zaraz — rzekł tamten — powiem, bo każdy ztąd wiele
Może pewnie skorzystać. —
Otóż raz w niedzielę
Czekałem niecierpliwie, aż zajadą konie,
Które miały nas zabrać pod lipy, na błonie.
Jednak nie nadjeżdżały; z szybkością łasicy,
Byłem przy drzwiach, przy oknie, to znów na ulicy,
To na dół, to na górę co chwila biegałem.
Palce mię tak świerzbiały, że stoły drapałem,
Stukałem i zaledwiem nie płakał od złości.
Widział to wszystko ojciec, pełen cierpliwości,

Wreszcie wziął mię za rękę, przed oknem postawił,
Kazał spojrzeć naprzeciw i poważnie prawił:

Dziś w warstacie stolarskim niema żywej duszy,
Lecz jutro się tam piłka i hybel poruszy,
Dla każdej bowiem rzeczy jest stósowna pora;
I tak płyną godziny z rana do wieczora.
Jednak to sobie rozważ dobrze, mój kochanku,
Że ten stolarz z czeladzią w jutrzejszym poranku,
Zacznie ci robić trumnę, szybko z nią się sprawi —
I wnet mieszkanie z deszczek tutaj ci dostawi.
Cierpliwi, niecierpliwi, tak kończą na świecie:
Ziemia wszystkich zarówno ciężarem przygniecie!...

Więc ujrzałem w mym duchu już i trumnę ową,
Zbitą z deszczek i farbę czarną już gotową,
I zaraz cierpliwości na zawsze nabrałem;
Usiadłem i spokojnie na bryczkę czekałem.
Stąd, gdy się inni ludzie kwapią nierozumnie,
Lub zbyt się niepokoją, — ja myślę... o trumnie. —

Na to rzekł ksiądz z uśmiechem:
Śmierci obraz smutny
Dla mądrych i pobożnych nie jest tak okrutny;
Tamtych bowiem nauczy, jak działać najlepiej,
Tych w strapieniu nadzieją zbawienia pokrzepi.
Śmierć zamienia się w życie. Stąd trochę bez miary
Grozę śmierci synowi skreślił ojciec stary.

Bo czem jest wiek dojrzały, — to wpajać młodemu;
Zarówno, jak wiek młody — wspominać staremu,
By się cieszyli obaj odwiecznym porządkiem,
Bo śmierć jest tylko życia nowego początkiem!

A wtem drzwi się otwarły. — Weszła młoda para;
I zaraz się rodzice zdumią co niemiara
Nad wzrostem narzeczonej; z synem ją równają,
Drzwi im nawet cokolwiek za małe się zdają,
Gdyż oboje wstąpili wraz na próg domowy.

Potem jął Herman mówić takowemi słowy:

Oto właśnie dziewczyna, jak sobie życzycie,
Uprzejmie ją też ojcze powitać raczycie,
Albowiem ona sobie na to zasłużyła;
A wy ją rozpytujcie zaraz, matko miła,
O wszystko, co się tylko gospodarstwa tyczy,
Abyście wnet poznali, jak wam dobrze życzy...
Potem spiesznie plebana na bok odprowadził
I rzekł:
Obyś mój Księże szybko mi zaradził
W sprawie, której się końca nadewszystko boję,
Bo jej tu nie przywiodłem jak małżonkę swoję,
Lecz jako sługę tylko! Jest więc w tem mniemaniu,
Bo możeby uciekła na myśl o swataniu,
Zatem szybko działajcie, niech i ona w błędzie
Nie pozostaje dłużej — i mój koniec będzie.

Więc okażcie swój rozum, znany z doświadczenia!...
Zatem zaraz się zwrócił ksiądz do zgromadzenia,
Ale niestety właśnie już ojca przemowa
Tknęła duszę dziewczyny. —
Takie bowiem słowa
Ojciec bez złych zamiarów do niej wypowiedział:

Dobrze, żem się nareszcie z pociechą dowiedział,
Iż Herman ma gust dobry, jak ja niegdyś miałem,
Bo tylko z najpiękniejszą zawsze tańcowałem
I najpiękniejszą wkońcu do swego gniazdeczka
Przywiodłem jako żonę; — tą była mateczka.

Z wyboru narzeczonej, jak to każdy przyzna,
Poznać zaraz, jak ceni sam siebie mężczyzna.
Ale także, dziewczyno, w tem pochlebiam sobie,
Że nie pójść za tym chłopcem — trudno było tobie.

Tymczasem Hermanowi serce drżało w łonie,
A milczenie przez chwilę panowało w gronie.
Lecz dziewczyna dotknięta słowy szyderczemi,
(Przynajmniej jej się one wydały takiemi)
Stanęła i jak róża zapłonęła cała,
Lecz nad swojem uczuciem wnet zapanowała.
Gdy zaś już bólu swego ukryć nie jest w stanie:

Takie mię — rzekła — tutaj spotyka witanie!
Czemuż mnie już i na to syn nie przygotował,
Gdy mi sposób myślenia waszego malował:

Wiem wszakże, że tu stoję przed światłym człowiekiem,
Który umie się liczyć ze stanem i wiekiem,
Tylko brak mu współczucia dla sługi ubogiej,
Co w najlepszych zamiarach w te wstąpiła progi.
Bo czyżbyście inaczej szydzić ze mnie chcieli,
Chociaż mnie tak daleka od was przestrzeń dzieli.
Prawda, żem przyszła tylko z tym węzełkiem drobnym,
A wy tacy swobodni, w domu tak zasobnym.
Wiem ja, że jestem sługą, lecz przeto nikomu
Nie wypada szyderstwem wypędzać mię z domu!

Tu zatrwożony Herman księdzu daje znaki,
Aby dla wyjaśnienia podał sposób jaki.

Ksiądz się zbliżył, lecz widząc cichą i głęboką
Boleść dziewczyny i łzami zwilżone jej oko,
Odłożył aż nakoniec rzeczy rozjaśnienie,
Tymczasem zaś chciał zbadać to jej rozrzewnienie.

Zatem przemówił do niej tak z badawczą miną:

Pewnie nie rozważyłaś dokładnie, dziewczyno,
Skoroś tak prędko służbę w tym przyjęła domu,
Co znaczy próg przestąpić, aby służyć komu.
Bo już o całym roku stanowi umowa,
I wiele znieść potrzeba dla jednego słowa.
A najprzykrzejszem w służbie nie to jest w istocie,
Że trzeba ciągle biegać, pocić się w robocie,

Bo zarówno z parobkiem pan jego pracuje.
Lecz cierpieć, gdy niesłusznie gospodarz strofuje,
I czego chcieć od sługi, sam już dobrze nie wie;
Znosić gwałtowność pani, popędliwej w gniewie,
I od niegrzecznych dzieci przeróżne urazy:
Oto, co trudno ścierpieć i spełniać rozkazy
Chętnie i nigdy nie stracić ochoty.
Ale ty nie przydatnaś do takiej roboty,
Skoro cię tak dotknęły żarty gospodarza.
A przecież nic na świecie częściej się nie zdarza,
Jak to, że się dziewczynę chłopcem prześladuje.

To rzekł; dziewica słuszność jego mowy czuje,
Ale brakło jej mocy, żałość ją porywa,
I głębokie westchnienie z piersi się dobywa.
Mówiła więc natychmiast ze łzami rzewnemi:

— O i najmędrszy nie wie, że słowy zimnemi
Trudno kogoś uwolnić od tego, co boli,
Lub co nam cierpieć trzeba z wyższych losów woli.
Wy szczęśliwi, weseli; żart wam nie dojmuje,
Ale chory najlżejsze dotknięcie już czuje: —
Nie, nic mi nie pomoże, choćbym rzecz ukryła,
Którąby tylko potem boleść mą zwiększyła.
Pozwólcie więc, niech zaraz progi te porzucę,
Wyszukam mych biedaków i do tych powrócę,
Których tam porzuciłam, w lepszą idąc drogę.
Taka jest wola moja; zatem wyznać mogę,

Coby inaczej w sercu długo pozostało:
Tak jest, mocno mnie słowo ojca zabolało,
Nie, iżbym była tkliwa lub też nadto dumna, —
Bo słudze być takową jest rzecz nierozumna;
Ale, że w sercu mojem pociąg się objawił,
Ku temu, co jak zbawca dziś mi się pojawił.
Toż skoro nas opuścił, od owej godziny
Ciągle myślałam o nim, o szczęściu dziewczyny,
Z którą go już złączyły może zaręczyny.
Jego widok przy studni znów mnie tak ucieszył,
Jak gdyby mi kto z niebian na pomoc pospieszył.
Więc gdy mnie wziął za sługę, to przez całą drogę
Schlebiałam sobie w sercu, że go zyskać mogę,
Jeżli się stanę domu niezbędną podporą;
Ale jest niebezpiecznie, jak obecnie wierzę,
Mieszkać pod jednym dachem z ukochanym szczerze,
Zwłaszcza, jeżeli kochać trzeba w tajemnicy.
Bo teraz czuję dobrze, jak biednej dziewicy,
Choćby najlepszą była, daleko do tego,
By mogła zostać żoną chłopca bogatego.
To mówię, by przed wami serce się odkryło,
Które do przytomności właśnie powróciło.
Bo cóż wkońcu czekało mą miłość tajoną,
Gdyby on w dom wprowadził swoją narzeczoną,
Czyliżbym wówczas boleść ścierpieć była zdolna.
Lecz skutkiem tej przestrogi dusza moja wolna
Od wszelkiej tajemnicy; rzecz się zatem skończy,
A mnie niechaj z tym domem nic więcej nie łączy.

Drżę bowiem z niepokoju i ze wstydu płonę,
Wyznawszy serca mego nadzieje szalone.
Ani mnie noc nie wstrzyma, ani chmur całuny,
Ani grzmiące w tej chwili na polu pioruny,
Ani deszczu gwałtownie lejąca nawała, —
Ani burza straszliwa!... Wszystkiegom doznała,
Do sromotnej ucieczki przed wrogiem zmuszona,
Rozstawać się ze wszystkiem — dawnom zaprawiona...
Zatem bywajcie zdrowi! Z nami rzecz skończona.

To rzekłszy, szybkim do drzwi przybliża się krokiem,
Ciągle swe zawiniątko trzymając pod bokiem. —

Lecz matka ją natychmiast porywa w ramiona,
Przyciska ją do siebie i woła zdziwiona:
Mów! co to wszystko znaczy? po co łzy takowe?
Czyżbym mogła tak puścić mą przyszłą synowę?...

Jednak ojciec widocznie był niechętny temu,
I patrząc na płaczącą, mówił po swojemu:

Jeszcze też ta przyjemność dzisiaj na mnie spada,
Że to, co najmniej znośne, w końcu dnia przypada!
Nic bowiem tak niecierpię, jak baby płaczliwe,
Ich wołania namiętne, kroki popędliwe,
Gdzie zdrowego rozsądku starczy odrobina! —
Nudzi mnie już ta cała długa plątanina.
Więc zakończcie ją sami; ja spać się położę.

Zatem szybko swe kroki zwracał ku komorze,
W której stało małżeńskie ulubione łoże.

Lecz syn go zatrzymując, błagał temi słowy:

Nie odchodź, drogi ojcze, nie bądż tak surowy!
Wina tego zamętu na mnie głównie spada,
Choć się on trochę zwiększył, przez fortel sąsiada.
Wam wszystko powierzyłem, mój księże łaskawy,
Więc nie mnożąc kłopotów, zróbcie koniec sprawy,
Bobym was już na przyszłość nie mógł tak szanować,
Gdybyście mi szkodzili, zamiast mnie ratować!

Na to pleban z uśmiechem mówił bez wahania:

Któżby zdołał wydobyć piękniejsze wyznania,
Odsłonić, co się w duszy tej dziewicy kryło?
Bo czyż się twe zmartwienie w radość nie zmieniło?
Więc bez obcych wyjaśnień sam rzecz powiedz całą!

Wystąpił tedy Herman i przemówił śmiało:

Nie żałuj łez wylanych, ni swego cierpienia,
Bo to dla nas obojga w szczęście się zamienia.
Nie dla najęcia w służbę — nieznanej dziewicy,
Lecz by serce jej zyskać, byłem u krynicy.
Lecz nie mogłem przez mego bojaźliwość wzroku
Nic wyczytać w twem sercu — tylko przyjaźń w oku,

Kiedy się pochyliłaś nad krynicą ową.
Do domu cię prowadzić, — już szczęścia połową
Było naówczas dla mnie; zatem przyjm me dzięki,
Iż teraz je w całości odbieram z twej ręki.

Dziewczę spojrzy na chłopca w głębokiem wzruszeniu,
Nie mogąc się już oprzeć jego uściśnieniu,
Tej najwyższej radości, co kochanków łączy,
W nadziei, że ich szczęście nigdy się nie skończy...

A gdy tamtym ksiądz pleban rzecz całą odsłania,
Dziewczę idzie ku ojcu, przed nim głowę skłania —
I całując go w rękę, (którą on wstrzymuje),
Tak rzecze:
Dobroć wasza niechaj mi daruje
Łzy wpierw wylane z bólu, a wkońcu z radości,
Bym się mogła już szczęściu oddać w zupełności.
Niech się wam z mojej winy przykrość nie powtórzy!
I niechaj zamiast sługi — synowa wam służy!

Ojciec łzy ukrywając, uściskał dziewicę,
A matka ją serdecznie całowała w lice;
Za ręce się trzymały i... płakały obie. —

Tymczasem rzecz stosowną ksiądz przypomniał sobie:
Więc ujął rękę ojca, zdjął z niej pierścień złoty,
W czem dla pulchności palców miał dosyć roboty;

Potem, zdjąwszy pierścionek także z ręki matki,
Przystąpił w tym zamiarze, by zaręczyć dziatki.

Niechaj — rzekł — te obrączki spełnią swe zadanie
I złączą drugą parę równie nieprzerwanie!
Skoro Herman dziewczynę kocha z całej siły,
Dziewczyna zaś wyznała, że i on jej miły,
Więc niech wasze na przyszłość losy się zespolą,
Przy świadectwie przyjaciół — a z rodziców wolą!

Właśnie już i aptekarz pospieszał z życzeniem,
Kiedy rękę dziewczyny ksiądz zdobiąc pierścieniem,
Ujrzał drugą obrączkę, niemało zdumiony.
(Już Herman tą obrączką był niepokojony,
Jeszcze wówczas, gdy z lubą siedział u krynicy).
Lecz ksiądz z uprzejmym żartem mówił do dziewicy:

Jakto! już drugi pierścień! oby więc przeszkody
Nie stawił przed ołtarzem dawniejszy pan młody!

Ona odpowie na to: O pozwólcie tylko
Wspomnieć o tej pamiątce choćby jedną chwilką!
Dał mi ją zacny młodzian, co kraj swój porzucił,
A niestety już nigdy do niego nie wrócił.

On wszystko przewidywał, gdy miłość swobody —
Otwarła przed nim naraz nieznane zawody!

Więc poszedł do Paryża... gdzie umarł w więzieniu...
Bywaj zdrowa!—rzekł do mnie — świat dziś w poruszeniu,
Wszystko, co było razem, nagle się rozstaje,
Nawet w państwach potężnych moc prawa ustaje.
Rozłącza się właściciel z swą dawną własnością —
Przyjaciel z przyjacielem, i miłość z miłością.
Więc i ja ciebie rzucam! gdzie się spotkam z tobą,
Któż wie!... Może ostatni raz mówimy z sobą!
Gościem bowiem, to prawda, jest człowiek na świecie,
Lecz takim jak dziś gościem, nigdy nie był przecie!
Ziemię i wszystkie skarby dziś nam zabierają,
Stare, święte naczynia w pieniądz przetapiają.
Wszystko w ruchu; zda się, że stary świat wstępuje
W noc i chaos, aż się na nowo ukształtuje. —
Ty mi oddasz swe serce! Na świata ruinie
Każde z nas jako nowa istota wypłynie,
Przemieniona — i wolna od losu przypadków;
Bo cóżby krępowało dni dzisiejszych świadków...
Lecz... gdybym ujść nie zdołał niebezpieczeństw wielu, —
I wraz z tobą nie dopiął radośnego celu,
Niech wówczas przed twą duszą postać moja staje
I do znoszenia doli otuchy dodaje!
Jeżli zaś nowym związkiem skończysz byt tułaczy,
Przyjmij naówczas chętnie, co los ci wyznaczy.
Czystem kochaj uczuciem — tych, co cię kochają
A dobrzy niech wdzięczności od ciebie doznają.
W niczem się nie przywiązuj zbytecznie do świata,
Bo podwójną ci boleść każda sprawi strata.

Oceniaj wartość życia, wszakże nie zbytecznie,
Bo życie, tak jak wszystko, trwać nie może wiecznie.

To rzekł — i już się nigdy mym oczom nie zjawił. —
Lecz pomna tej przestrogi, którą mi zostawił,
Myślę o jego słowach, i choć szczęście nowe
Otwiera dziś przedemną nadzieje różowe,
Przecież nawet przy tobie jestem cała drżąca,
Jak żeglarz, gdy po burzach, o ląd wreszcie trąca,
Nawet najtwardszą ziemię z nieufnością bada.

To mówiąc, nowy pierścień przy dawniejszym wkłada.
Lecz wnet z męską czułością Herman odpowiada:

Niechaj więc tem mocniejszym nasz węzeł się stanie,
A chociaż tak powszechne w świecie zamięszanie,
My się trzymajmy wiernie, wytrwale i silnie!
A pięknej posiadłości doglądajmy pilnie.
Bo kto w czasach niepewnych ma niestałą wolę,
Ten złe jeszcze powiększa i szerzy niedolę,
Jedynie stały umysł — świat sobie buduje;
Niech więc ruchom straszliwym Niemiec nie hołduje,
I niech się nie przechyla w stronę tę i ową...
To nasze! zawołajmy i spełnijmy słowo!
Zawsze bowiem te ludy okryją się sławą,
Co biją się za Boga, rodzinę i prawo,
A w imię tych idei śmierci się nie boją!...
Tyś moja! i ta własność jest dziś bardziej moją,

Lecz w trwodze jej używać, przykroby mi było,
Chcę się nią raczej cieszyć z odwagą i siłą.
A gdyby wróg ponowić śmiał napady swoje,
Ty sama wówczas dla mnie przysposobisz zbroję,
Ty będziesz opiekunką rodzicom, domowi,
Ja zaś nadstawię piersi przeciwko wrogowi.
Gdyby każdy tak myślał, stałyby narody
Silnie naprzeciw siebie i żyły — wśród zgody!...